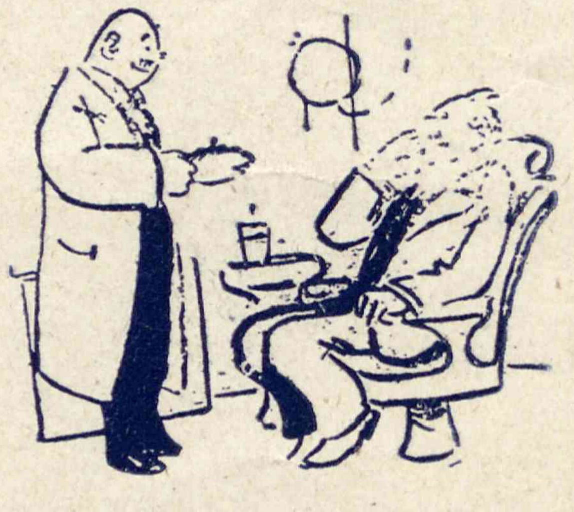
Nr. 1 - 2-I-19



ŚWIAT



— Panie doktorze! Pan mi wyrwał nie ten ząb, który mię boli!
— Cierpliwości, kochany panie, cierpliwości. Przyjdzie kolej i na tamten. (Tribuna).



Druk rot. „Prasa Polska" S. A., Warszawa

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII **ŚWIAT** NR. 1

WARSZAWA, DNIA 2-go STYCZNIA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

ŻYCZENIA

Najgłębsi badacze kryzysu gospodarczego, gnębiącego dziś ludzkość, przyszli do przekonania, że źródła jego nie leżą w niemożności zaspokojenia potrzeb prymitywnych człowieka, bo mamy nadmiar towarów, ani w nadprodukcji, gdyż całe rzesze są jeszcze głodne i nagie, a olbrzymie kraje napróżno oczekują niezbędnych inwestycyj; źródła tkwią w nierównomiernem rozmieszczeniu bogactw, w złem funkcjonowaniu aparatu rozdzielczego, w wadliwości środków wymiany, w braku kredytu, wszystko zaś to jest rezultatem zaniku wzajemnego zaufania. Przyczyny więc klęski ekonomicznej są natury psychicznej, a nie materjalnej.

To samo zjawisko nieufności, które tak wielkie szkody wyrządza na terenie międzynarodowym, działa też ujemnie w wewnętrznem życiu Polski. W stosunkach prywatnych szef nie ma zaufania do pracownika, robotnik do przedsiębiorcy, kapitalista do wspólnika, wierzyciel do potrzebującego pożyczki, dłużnik — do całego otoczenia. Wszyscy podejrzewają się o najgorsze intencje.

Można to samo zaobserwować w szerszej skali życia publicznego. Władze państwowe nieufnie traktują obywateli; uważają ich wczambuł za defraudantów, pragnących oszukać skarb, za dezerterów, wyłamujących się ze swych obowiązków, za głupców, niezdolnych kierować swym losem, lub wprost za przestępców państwowych. Jakżeż tu takich dopuścić do udziału w rządach, do wolności wypowiadania się w prasie i na zgromadzeniach, do swobodnego wyboru przedstawicielstwa?

Stąd się rodzą dekrety prasowe, przesiąknięte duchem policyjnym przepisy o zebraniach, projekty nowej organizacji adwokatury, stąd pochodzą myśli o zniesieniu autonomji uniwersyteckiej, teorje o konieczności ingerencji administracji w aktach wyborczych, pragnienia podporządkowania jej wszelkich instytucji społecznych i t. p. Ten sam brak zaufania do obywateli przejawia się w masowem kreowaniu stanowisk komisarskich. Jeśli na jakimś odcinku życia publicznego źle idą sprawy — wyznacza się dla ratowania sytuacji komisarza; ale gdy któraś instytucja doskonale prosperuje — też go się wyznacza, aby położyć na niej rękę.

Jeśli odwrócimy zagadnienie i spytamy, jaki jest stosunek przeciętnego obywatela do rodzimych władz państwowych, to znów natkniemy się na brak zaufania.

W miodowych miesiącach rządów gen. Składkowskiego czyniono chwalebne usiłowania, aby zbliżyć ludność do urzędów I instancji. O pewnej godzinie, za podniesieniem flagi państwowej, każdy miał wolny wstęp do starosty. Chodziło o usunięcie praktykowanego dotychczas pośrednictwa posłów i o nawiązanie bliskiego kontaktu między obywatelami a przedstawicielem władzy państwowej. Dziś odnośne okólniki poszły w zapomnienie, a stosunki między urzędami a ludnością są dalsze, niż kiedykolwiek. Wprawdzie „w terenie" zjawili się znowu posłowie, gotowi do usług pośredniczących, lecz mieszkańcy patrzą na nich nieufnie, nie wiedząc dobrze, czy są to ich przedstawiciele, czy raczej nowi reprezentanci administracji. Nietylko bowiem Sąd Najwyższy ma kłopoty z badaniem prawidłowości manda-

tów; opinja publiczna usposobiona jest bodaj jeszcze sceptyczniej.

To też i stosunek do Sejmu, jako całości, uprzednio już bardzo poderwany, wcale nie uległ poprawie. Pod pewnym względem nastąpiło nawet zdecydowane pogorszenie. Dawniej Sejmu nie szanowano, ale interesowano się nim; z gry partyjnej, ze zmieniającego się wciąż układu sił, wychodziły takie czy inne ustawy, złe dla jednych, pożądane przez drugich, ciekawe dla wszystkich.

Dzisiaj publiczność nie fatyguje się na galerję, ani nie studjuje sprawozdań sejmowych. Gmach przy ul. Wiejskiej przestał być miejscem niespodzianek, zmagań się, rozstrzygnięć. Jeśli toczą się jakieś walki, jeśli następują kompromisy — to za kulisami życia parlamentarnego, w zaciszu fachowych komisji większości rządowej, poza wiedzą i kontrolą społeczeństwa. Widowisko dostępne dla ogółu obywateli już nie zawiera żadnych momentów emocjonalnych, wyreżyserowane jest zgóry, finał znany od początku. To też przez ostatnie dwa miesiące obserwowaliśmy paradoksalne zjawisko, że bardziej interesowano się tem, co się dzieje na sali sądowej, niż tem, co się odbywa na plenum Sejmu; najpoczytniejsze pisma więcej miejsca poświęcały zeznaniom świadków, niż przemowom poselskim i żywiej poruszyło opinję jednodniowe zawieszenie procesu z powodu pożaru, niż całomiesięczna przerwa sesji parlamentarnej.

Nie są to objawy zdrowe, ani pomyślne dla państwa. Sejm, obradujący wśród obojętności społeczeństwa, przestaje być przedstawicielstwem narodu i przekształca się w wielką, kilkusetosobową komisję rzeczoznawców. W tej roli staje się zbytecznym; w redagowaniu nowych ustaw nigdy nie przewyższy kompetencją Komisji Kodyfikacyjnej i innych ciał analogicznych. Niezastąpiony jest natomiast, jako sprawdzian nastrojów społeczeństwa i wyraziciel jego życzeń. Ta jego doniosła i subtelna funkcja musi odbywać się publicznie, wciągać w roztrząsane zagadnienia całe bezimienne tłumy na jarmarkach i bankietach, po karczmach i kawiarniach, w domach ludowych i klubach towarzyskich, na wielkich zgromadzeniach i poufnych konwentyklach, docierać za pośrednictwem prasy nawet do odludków i domatorów. To jest dopiero życie polityczne współczesnego narodu, to jest dopiero demokracja.

Jeśli rozważania i decyzje nie wychodzą z poza szczupłego kółka wtajemniczonych, lub z obrębu jednej głowy, choćby najgenjalniejszej, przestają być dorobkiem i własnością narodu, odrywają się od niego, stają mu się obcemi. Tworzy się wtedy między rządzącymi a rządzonymi przepaść, niebezpieczna dla każdego państwa, a zwłaszcza dla takiego, które, nie mając granic naturalnych i przyjaznych sąsiadów, jedynie świadomością, poświęceniem i zdecydowaną postawą obywateli może utrzymać swój stan posiadania.

Wychowanie państwowe, o którem tak wiele się teraz mówi, polega właśnie na organicznem zespoleniu interesu jednostki z państwem, na uczynieniu z niej współwłaściciela tej potężnej instytucji, rozporządzającego pełnią praw i obarczonego pełnią obowiązków, przyczem zgoła scholastycznym jest spór, czy posiadanie praw pociąga za sobą obowiązki, czy też spełnianie obowiązków nadaje prawa. Rodzą się one w społeczeństwie dzisiejszem i znikają jednocześnie. Dlatego tak niebezpieczne jest odmawianie komuś praw obywatelskich, a nawet stwarzanie pozorów ich uszczuplenia. Powoduje to zanik obowiązkowości, wzrost uczuć egoistycznych, zobojętnienie dla spraw społecznych.

Obawiamy się, że ogół polski w takie groźne został wepchnięty nastroje. Dający się łatwo zaobserwować brak ofiarności na cele ogólne tem właśnie nastawieniem psychicznem więcej się tłumaczy, niż zubożeniem powszechnem. Czasy wojny i okupacji, chleba kartkowego i jadłodajni obywatelskich niosły przykrzejsze dolegliwości materjalne, a jednak duch ofiarności był tak wielki, że na Legjony oddawano obrączki ślubne. Teraz, w obliczu bezrobocia i ponurych perspektyw przyszłości próżno się woła o dobrowolne opodatkowanie się, o dorywcze składki. W dniach przedświątecznych jedno z najpopularniejszych wydawnictw zainicjowało zbiórkę na bezrobotnych zamiast powinszowań noworocznych. Na liście ofiarodawców poza nazwiskami ministrów i wiceministrów nie znalazło się niemal nikogo. A przecież trudno o lepszą okazję i piękniejszy cel!

Osoby, przeprowadzające niedawny spis ludności, zgodnie oświadczają, że gdyby nie młodzież szkolna i urzędnicy, nie znalazłoby się dostatecznej liczby honorowych komisarzy. Nie stało tych kandydatów, którzy tak chętnie garnęli się zawsze do różnych akcji społecznych: do Straży obywatelskiej, milicji, komitetów opiekuńczych. Odnosiło się wrażenie, jakby istniała jakaś tendencja „niewspółdziałania" z władzami.

Ta teorja walki biernej, gruntownie przemyślana i umiejętnie stosowana przez Gandhiego, przeniesiona na grunt polski — musi napawać przerażeniem. Przecież dopiero od lat 12 cieszymy się posiadaniem własnych urządzeń państwowych, witanych z rozrzewnieniem, z zapałem, z bezwzględnem oddaniem się.

Jakżeż daleko odbiegliśmy od tych czasów apoteozy i ekstazy! Jakżeż prędko znikł entuzjazm dla własnego rządu i własnego wojska! Tak gwałtowne przeobrażenia psychiczne muszą być wzięte pod uwagę przez sprawujących rządy. Niedość pocieszać się, że naród jest spokojny. Trzeba wiedzieć, czy jest zadowolony, czy pod gładką powierzchnią nie nurtują prądy, tem niebezpieczniejsze, że niewidoczne nazewnątrz. Trzeba zastanowić się, czem grozi tajone w głębi rozgoryczenie, do czego prowadzi coraz pogłębiający się przedział między rządzącymi a rządzonymi, trzeba rozważyć, czy możemy sobie pozwolić na przeciągający się stan wrogości we własnym, z trudem uwolnionym domu.

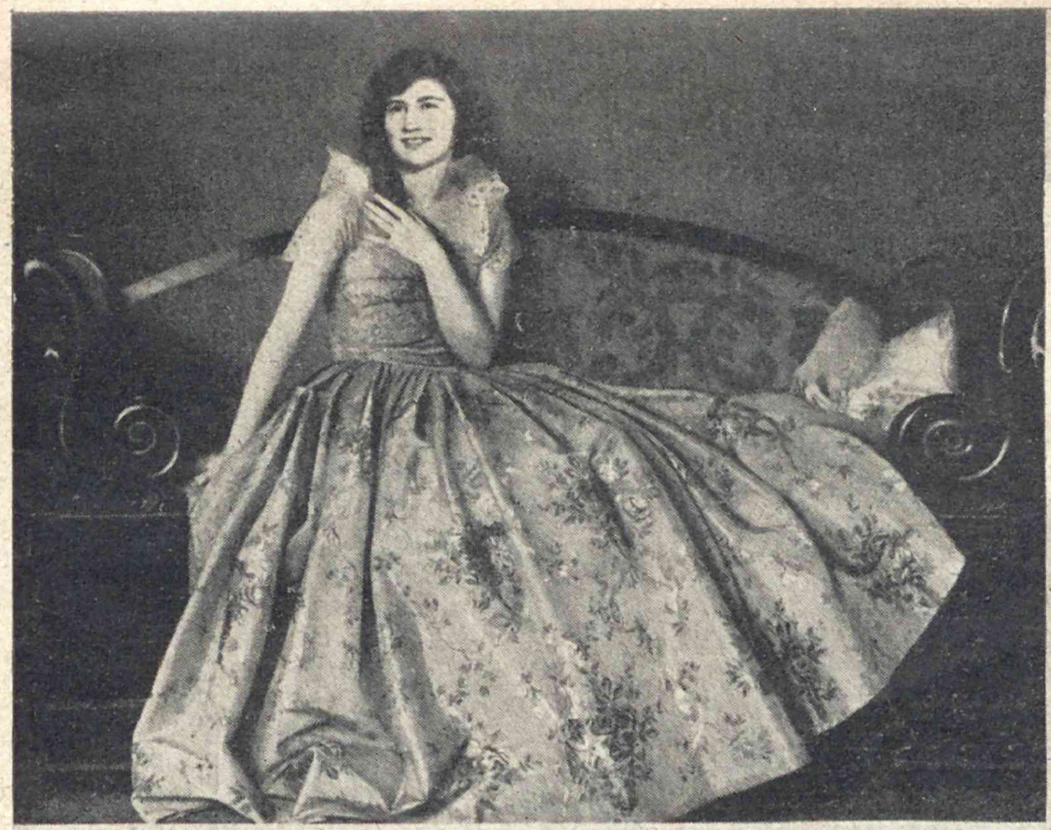
Były chwile — i to w ciągu ostatnich lat parokrotnie — kiedy to napięcie nieprzyjazne zmniejszało się, kiedy powracało wzajemne zrozumienie i wzajemne zaufanie. Ale wnet niezręczne posunięcie, z jednej lub drugiej strony, wywracało układający się kompromis.

Dzisiaj, wobec przerażającego kryzysu gospodarczego, wobec szalejącej w Niemczech orgji rewizjonistycznej, zaniechanie jątrzących metod jest tembardziej konieczne. Pierwotny cel przewrotu majowego — usunięcie przewagi władzy ustawodawczej nad wykonawczą — został osiągnięty; grozi raczej przechylenie szali w przeciwnym kierunku. Czyż mamy doprowadzić do stanu, kiedy znów legislatywa będzie musiała rewanżować się za nadużycia egzekutywy? Czyż nigdy nie zdobędziemy się na równowagę naszych władz, sił i zamierzeń?

Utrzymania tej równowagi, powrotu do normalnych stosunków, wskrzeszenia zaufania jednych Polaków do drugich — życzymy Rzeczypospolitej naszej w dniu, w którym życzenia szczere mają podobno wyjątkową moc spełniania się i który, zamykając jeden okres kalendarzowy, rozpoczyna nowy, bodaj lepszy od ubiegłego.

W. Giełżyński

INSTYTUT PROPAGANDY SZTUKI: SALON ZIMOWY



M. Boruciński: Portret p. N.



T. Pruszkowski: Portret malarki



W. Borowski: Przyjaciółki

Fot. A. Janczewska



H. Kuna: Portret K. Wierzyńskiego



Wł. Skoczylas: Na cmentarzu



DIBONA • MAYER • RIZZI •

Wyprawa polska w Alpy

ZŁOMY LODOWE I SZCZELINY LODOWCOWE PONIŻEJ WIERZCHOŁKA M. BLANC

Fot. Birkenmajer

KARAWANA PRZEWODNIKÓW WCHODZĄCA NA STROMY STOK LODOWCA DES MANTILLONS



Pewien *kiepski taternik*, z komiczną megalomanją uważający się jednak za *czołowego alpinistę* (zrobił tam w Alpach kilka błahostek, a wiadomo, że na bezrybiu i rak ryba...) nie posiadał się z gniewu, żeśmy go nie zaprosili na członka naszej ekspedycji delfinackiej. To też przed wyjazdem ekipy, zagadnąwszy jednego z jej uczestników, dał mu do zrozumienia, że *w takim razie* absolutnie nie wierzy w jakiekolwiek sukcesy.

— Szkoda wogóle gadać — ocenił kategorycznie — albo nie dokonacie niczego, albo też może paru drobiazgów, niewartych wzmianki.

— A cobyś powiedział — odparł zagadnięty — gdybyśmy tak powtórzyli drogę Dibona-Mayer-Rizzi na południowej ścianie Meije?!

— A, to istotnie byłby wyczyn na najwyższą miarę alpinistyczną — zgodził się sceptyk z całą zjadliwą gotowością, którą zresztą uznał za stosowne wyładować wprost i bez obsłonek w drwiącem zapewnieniu, nie dopuszczającem nawet cienia wątpliwości: — ale *to* wam się *nie uda!!...*

*

Jednak: *udało się*. Ściślej mówiąc: *powiodło się*. A najściślej: *musiało* się powieść.

Dlaczego *musiało?* Dlatego, że polskie taternictwo *jakościowo najzupełniej dorównywa* alpinizmowi. To trzeba sobie jasno uświadomić.

Z faktu, że Tatry są tak małe, wynikają bowiem dwojakie konsekwencje: złe i dobre. Złe polegają na tem, że w Tatrach, jako w górach niewysokich, panuje klimat stosunkowo jeszcze łagodny, wskutek czego taternik, przybywający w Alpy, musi się przez tydzień lub dwa aklimatyzować, nie mówiąc już o obowiązkowym kursie techniki śnieżno-lodowcowej, obcej Tatrom. Dobre jednak następstwa małości Tatr streszczają się w tem,



MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ NA BARDZO TRUDNEM URWISKU ALP DELFINACKICH (WSPINA SIĘ DOWÓDCA WYPRAWY, DR. J. DORAWSKI)

że są one *znakomitą szkołą wspinactwa.*

Twierdzenie pozornie paradoksalne, niemniej jednak prawdziwe. W Tatrach bowiem na małej przestrzeni *wszystko jest skoncentrowane:* zarówno bogactwo krajobrazu, jak trudności techniczne. Stojąc nad brzegiem takiego np. Czarnego Stanu Jaworowego, ma się w promieniu widzenia wszystko: las, pola śniegowe, płaty kosodrzewiny, lodowczyk, staw, olbrzymie krzesanice, siklawę, halę i morze piargów. Podobnież przechodząc taką np. zachodnią ścianę Łomnicy, ma się po drodze wszystko: wspaniałość skalnej scenerji, długość drogi, jej niesamowitą przepaścistość, trudności na najwyższym poziomie i niemożliwość asekuracji w najcięższych miejscach. Podobne przykłady koncentracji, tak pospolitej w Tatrach, byłyby w Alpach rzadkością.

Ale z powyższemi zjawiskami idzie w parze — częściowo zresztą z nich wynikając — dalsza tatrzańska osobliwość: *koncentracja rekordów.* Owa tak znamienna (zwłaszcza po wojnie) superprodukcja „asów", żądnych i zdolnych pokonywać najpotężniejsze i najtrudniejsze krzesanice, a w rezultacie wyłuskujących pokolei i metodycznie wszystkie problemy, warte zachodu taternika.

W Tatrach jest więc niemożliwie ciasno. Już od trzech sezonów letnich taternicy depcą sobie po piętach, co wytwarza niezdrowy nastrój konkurencji boiskowej. Naj-

lepsze siły i talenty marnują się na zabiegi zupełnie bezproduktywne.

Niema innego wyjścia: całą ekspansję taternictwa trzeba co prędzej zwrócić ku innym górom. Jedynie w ten sposób wyładuje się żądne podboju temperamenty, wykorzysta świetny wprost poziom wspinactwa, zniszczy szkodliwe współzawodnictwo wewnątrz polskiej elity taternickiej, zwracając ją jednolitym frontem przeciw elicie zagranicznej.

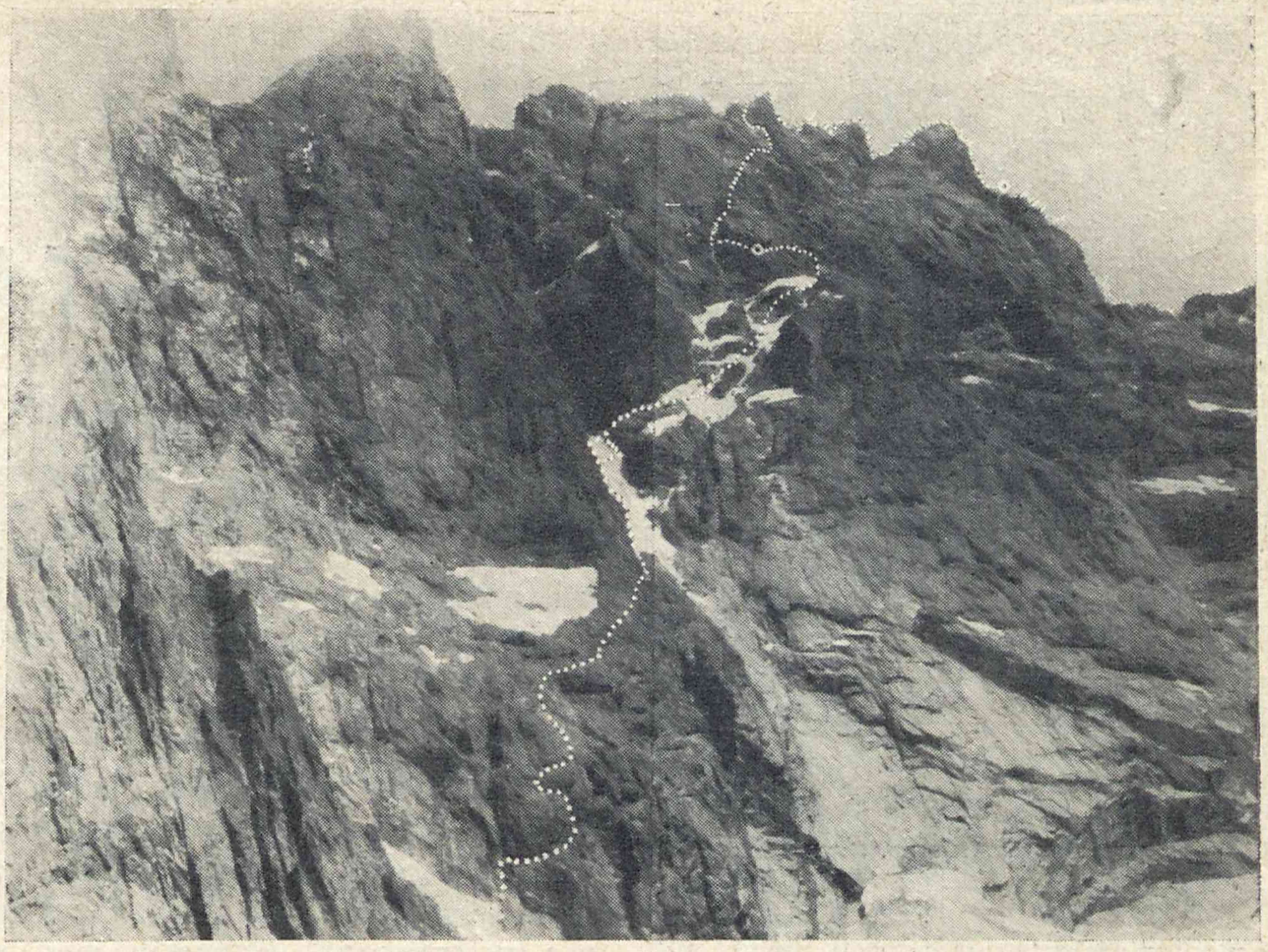
Zrozumiała to doskonale Sekcja Turyst. Polsk. Tow. Tatrzańskiego, Alma Mater polskiego sportu wysokogórskiego. Jej staraniem i częściowo na jej koszt została w bieżącym roku zorganizowana pierwsza oficjalna wyprawa taterników w Alpy. Drogą pewnego rodzaju eliminacji członkami jej zostali wybrani: W. Birkenmajer, J. K. Dorawski, K. Jodko Narkiewicz oraz J. A. Szczepański. W Delfinacie przyłączył się nadto piąty uczestnik, J. Golcz, świetny polski alpinista, stale zamieszkujący we Francji.

Ekipa nasza napotkała dwumiesięczne szykany paszportowe, ale kosztem wielkich ofiar pieniężnych (pełne opłaty za przekroczenie granicy i za wizy...) zdołała jednak wyruszyć. Nadzwyczaj serdecznie przyjęta w Grenoble, zarówno przez tamtejszą Polonję, jak przez reprezentację francuskich sfer wysokogórskich, ruszyła wgłąb masywu Pelvoux, aby tam spędzić trzy tygodnie w skałach i lodach.

*

Rolę bazy operacyjnej pełniło niewielkie, lecz doskonale położone osiedle turystyczne La Bérarde w dolinie Vénéon. Stamtąd odbywały się ataki na dwie strony. Pierwszy tydzień, poświęcony aklimatyzacji i nauce techniki lodowcowej, objął działalność w otoczeniu schroniska Vallon (Temple-Ecrins), a zatem wejście lodowcem na „Przełęcz Lawiniastą" (Col des Avallanches, 3500 m.) oraz dwa równoległe szturmy: do Pic Lory (drugi z rzędu co do wysokości szczyt masywu) oraz do Fiffre'a. Niestety, pozostały one bezowocne wskutek nagle rozszalałej burzy śnieżnej.

Dalsze dwa tygodnie spędziliśmy w malutkiem, wciąż jednak przepełnionem schronisku Promontoire (3100 m) wpośrodku lodowca Etançons, u stóp wspaniałej krzesanicy Meije (czyt. Meeż, 3987 m.). Pogoda rozpętała się fatalna. Jedna burza goniła drugą, młody śnieg co trzeci dzień nanowo pokrywał skały. Znowu nagłym wybuchem kurniawy zostały w połowie przerwane dwa równoległe szturmy: do południowej ściany Meije Orientale (3700 m.) i do zach. ściany Pavé. Kompletne olodzenie skały udaremniło nadto atak do zach. ściany Pointe des Chamois (3225 m.), zmuszając do wyjścia na sąsiedni szczyt Pointe des Aigles.



WIDOK ZE SCHRON. PROMONTOIRE (3100 M.) 900-METROWEJ WYSOKOŚCI URWISKO POŁUDNIOWEJ ŚCIANY MEIJE (3987 M.), ZDOBYTE PRZEZ POLSKĄ WYPRAWĘ W TRZYDNIOWEJ WSPINACZCE (31.VII.—2.VIII.1931). DROGA DIBONA-MAYER-RIZZI, KTÓRĄ POSTĘPOWAŁA WYPRAWA, OZNACZONA KROPKAMI, KÓŁKA WSKAZUJĄ MIEJSCA NOCLEGÓW W SKAŁACH

Fot. W. Birkenmajer

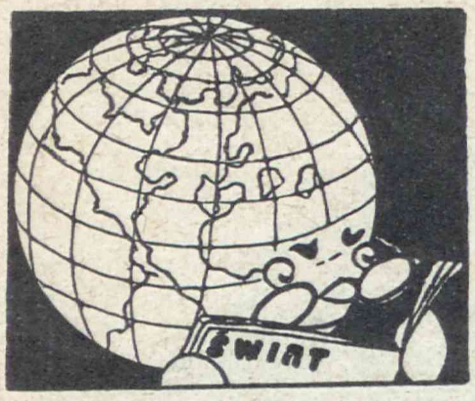
Wyrwaliśmy jednak z tej „passy" kilka dni jako tako pogodnych. W ciągu jednego z nich trzech członków ekipy zdołało przejść niezdobytą jeszcze i nienazwaną przełęcz między Pointe des Chamois a Pointe Emma (nadaliśmy jej przyjętą już nazwę *Brèche des Polonais*). Ale najwspanialszy był dzień 31 sierpnia, w którym K. J. Narkiewicz dokonał samotnie pierwszego (wogóle) przejścia olbrzymiej, lodem krytej, pn. ściany Rateau (3766 m.), my zaś czterej pozostali przystąpiliśmy do czwartego (od 19 lat!) przejścia straszliwej, 900-metrowej, pd. ściany Meije. Wśród niesłychanych trudności skalno-lodowych i nieustannych lawin kamiennych przebyliśmy w tym dniu $^2/_3$ wysokości ściany. Zmuszeni nocować w skale (na mrozie), dopiero nazajutrz wieczorem (przetrzymawszy w ciągu dnia trzy burze śnieżno-gradowe), osiągnęliśmy grań, na której wypadł nam drugi nocleg (o głodzie i wśród szalejącego föhnu). Dopiero trzeciego przedpołudnia dobiliśmy do schroniska L'Aigle na lodowcu Tabuchet.



POLACY NA LODOWCU GIGANTA (GRUPA M. BLANC)

Całokształt tego wyczynu pouczył nas naocznie, czem są i czem mogą być Alpy, lecz zarazem dał nam dowód, że taternictwo zdolne jest porwać się na najwyższe problemy alpinistyczne. Dlatego cały czwarty tydzień wyprawy spędziliśmy w masywie Mont Blanc (4810 m.) na rekonesansie problemów, godnych naszego ataku. Wprawdzie orkan śnieżny, panujący cztery dni, uniemożliwił nam realizację planów już w tym roku, lecz i tak rozpatrzyliśmy się, co mamy zaatakować w przyszłym: olbrzymią pd. grań Mont Blanc (*Arrêt de Peteret*) i jego niesamowitą, 1500 m. wysoką wsch. ścianę (droga „*Sentinelle Rouge*").

W. Birkenmajer



TYDZIEŃ ŚWIATA

(L) Niedawno odbył się zjazd panmusulmański w Jerozolimie. Postanowiono proklamować to miasto za stolicę Islamu. Uchwalono liczne rezolucje, zmierzające do zunifikowania ruchu politycznego, religijnego Mahometan. Zjazd uchylił się od wyrażenia protestu Kremlowi, choć „wziął pod uwagę prześladowania, czynione na musulmanach, żyjących na terytorjum Sowietów".

O atmosferze, w jakiej odbył się ten zjazd, najlepiej świadczy fakt, iż podczas debat zarąbano trzech delegatów, a kilku dotkliwie pobito. Na Kalifa zdecydowano powołać spadkobiercę sułtanatu tureckiego. Jest to więc, jakgdyby, próba restytucji dawnych przedwojennych wpływów ottomańskich. Zjazd wypowiedział się też negacyjnie przeciw kolonizacji żydów, a nawet doręczył władzom angielskim odpowiedni memorjał. Równocześnie ogłoszono statystykę kolonizacji żydowskiej w Palestynie: w r. 1922 mieszkało tu 83 tysiące haluców, w r. 1931 naliczono już 175 tysięcy głów żydowskich. Świadczy to, iż zaludnienie żydowskie na przestrzeni lat dziesięciu podwoiło się.

. . . .

(M) Nowe podatki, uchwalone przed świętami przez sejm, mają przynieść skarbowi 225 miljonów złotych. Zaległości jednak podatkowe wynoszą zgórą 1.200 miljonów złotych. Zachodzi więc pytanie, czy odrazu należy uchwaloną sumę 225 miljonów zapisać na deficyt czy też poczekać do rezultatów budżetowych roku 1932? Skoro obywatele nie mogli wpłacić i zalegają z miljardem złotych podatków, to skąd wezmą pieniądze na płacenie nowych obciążeń? Życie nasze gospodarczo - fiskalne przypomina znaną anegdotę fornalską. Dziedzic pomstuje na chłopka, czemu nie zaprzęga drugiego konia do wozu:

— Nie ciągnie, panie dziedzicu...

— Jakto nie ciągnie?

— Zwyczajnie! Po co ma przeszkadzać przy wozie pracowitemu koniowi i ten ma się uczyć od niego złych narowów!

I u nas miast zaprządz wszystkich do regularnego płacenia danin, omija się liczne warstwy społeczne, przyciskając tych, z którymi fiskalizm najłatwiej sobie radzi, to jest rolnictwo, przemysł, handel, zawody inteligenckie!

. . . .

(Wig.) W prasie, na zjazdach i zgromadzeniach publicznych rozwija się bardzo ciekawa, może czasem zbyt namiętna i nierzeczowa, ale pożyteczna dyskusja nad nowym projektem prawa małżeńskiego. Biorą w niej udział prawnicy, politycy, działacze społeczni, publicyści, literaci. Wypowiedział się episkopat polski i sfery lekarskie. Słowem, każdy ze swego punktu widzenia tak czy inaczej ustosunkowuje się do projektu, mającego doniosłe znaczenie dla państwa i społeczeństwa. I jest to rzecz zrozumiała i konieczna.

Do tego publicznego roztrząsania zalet i wad proponowanego prawa małżeńskiego wmieszał się głos mieszkańców miasteczka Koniecpola, którzy — według relacji Katolickiej Agencji Prasowej — nazywają projekt wprowadzenia fakultatywnych ślubów cywilnych — „narzucaniem życia na psią wiarę", wprowadzaniem „małżeństw na próbę" i „uwłaczaniem czci Matki Najświętszej, a na wypadek uchwalenia go w drodze legalnej grożą „przelaniem krwi" i t. d.

Jeśli informacja Agencji Katolickiej jest prawdziwa, Koniecpolanie nietylko nie mieliby obywatelskiego prawa zabierania głosu w sprawach publicznych, ale zasługiwaliby na kaftan bezpieczeństwa lub na zamknięcie za kratami.

Można rozmaicie bronić swych poglądów, tylko nie przy pomocy demagogicznych argumentów i zbrodniczych pogróżek.

. . . .

(Wig.) Niedawno Stanisław Dzikowski wydał ciekawą książkę o „Polsce Egzotycznej" — na Kresach wschodnich. Okazuje się jednak, że i prowincje zachodnie mają swój egzotyzm. W komisji sejmowej podczas dyskusji nad „akcją pocztówkową" ubiegłego roku ujawniło się, że w b. zaborze pruskim dotychczas istnieje t. zw. „prawo ojcowskie nauczycieli", upoważniające ich do stosowania kary cielesnej wobec uczniów.

Nagłe odkrycie tego prawa jest prawdziwą sensacją. Z organizatorów i reformatorów naszego szkolnictwa nikt o niem nie wiedział. Cieszyliśmy się ustrojem republikańskim i demokratyczną konstytucją, wprowadzaliśmy siedmioletni przymus nauczania, wysoko zorganizowane szkoły powszechne, jednolitość szkolnictwa, system Daltoński i wszystkie najmodniejsze wynalazki pedagogiczne, a jednocześnie w miasteczkach wielkopolskich i wsiach pomorskich nauczyciel chłostał dzieci i bił je po twarzy — w sposób najlegalniejszy, zgodnie z istniejącemi przepisami z czasów wilhelmowskich.

Cóż znaczy cała nasza republikańska i demokratyczna fasada, skoro poza nią — i to w każdej dziedzinie życia — przechowują się zwyczaje i zapatrywania prawdziwie dla XX wieku egzotyczne.

. . . .

(F) Prasa codzienna donosi o wypadkach kryminalnych, spowodowanych przez młodzież szkół średnich. Niedawno w Łodzi jakiś sześcioklasista napadł na przechodzącą kobietę, usiłując jej odebrać pieniądze. Na terenie województw południowo - wschodnich stwierdzono nawet istnienie szajek bandyckich, zorganizowanych przez uczniów klas wyższych. W Niemczech wypadki tego rodzaju zdarzają się również często. W Pile policja kryminalna aresztowała ośmiu uczniów w wieku od lat 10 — 14, trudniących się kradzieżami a nawet włamywaniem do lokali. Splądrowali oni cały szereg mieszkań i sklepów. Zaopatrzeni byli w garnitur precyzyjnych narzędzi złodziejskich.

Zjawiska te dają dużo do myślenia. Nietylko atmosfera domu rodzinnego, ale i szkoły średniej zawodzi. A tyle debatuje się obecnie nad metodami wychowawczemi! Oderwany wypadek nie może wprawdzie podważyć reguły ani osłabić ogólnych przesłanek pedagogji. Przestępstwa kryminalne wśród młodzieży dzieją się jednak coraz częściej.

. . . .

(R) Nienormalne warunki istnienia tworzą specjalne, sezonowe zajęcia. Podczas wojny rozwinęło się słynne paskarstwo, które jeszcze za inflacji zażywało dobrych czasów. Teraz mamy do zanotowa-

nia nadmierny przypływ nowych sił do intratnego zajęcia licytanckiego. Potworzyły się zgrane zespoły, występujące na licytacjach komorników sądowych. Istnieją też specjaliści od licytacji podatkowych. Nie dopuszczają oni z zasady kontrahenta z zewnątrz organizacji. Rezultat jest straszny. W Rogoźnie kupili oni na licytacji konia za 10 zł. i gr. 10. We wsi Mroczki za 2 konie, 7 sztuk bydła, 1 świnię, 2 pary sani, bronę, pług, młockarnię, komodę, zegar i 3 walizki zapłacili 200 złotych. W Warszawie nową maszynę do pisania przybili za 130 złotych!

Faktów takich przynosi prasa codzienna bez liku. Kto ma z tego pożytek? Czy nie jest to jaskrawe nadużycie litery prawa? Korzysta z tego żywioł najmniej uprawniony a dostatecznie elastyczny, by obłowić się w każdej, nawet tragicznej sytuacji.

. . . .

(k) Nie ulega wątpliwości, że zwolna — bardzo zwolna — poczynamy przystosowywać się do nowych, skromnych — bardzo skromnych — warunków bytu. Oto pierwszorzędna restauracja, dostępna dotychczas tylko dla ludzi bogatych, ogłasza kolacje po 4 zł. Wracamy do norm przedwojennych, kiedy również tego rodzaju posiłki w pierwszorzędnych restauracjach kosztowały poniżej rubla.

We wszystkich sklepach, na całej linji, zniżka cen. Nie widać natomiast inwencji i zręczności w zjednywaniu sobie nabywców. Dość znaczna część naszego kupiectwa dała się opanować marazmowi zniechęcenia. Jak gdyby, w dobie przesilenia, nie była potrzebna podwójna energja, zabiegliwość, pomysłowość.

Kto nie będzie umiał przystosować się do nowych konjunktur, ten skazany jest z góry na zagładę. Bo naprawa stosunków nie przyjdzie mechanicznie z zewnątrz. Nawet na bogatego wujaszka z Ameryki nie można już rachować. Zubożał. Liczyć można tylko na własne siły twórcze, na własną pracę i oszczędność.

. . . .

(sk) Wśród obrazów, zgromadzonych na inauguracyjnej wystawie Instytutu Propagandy Sztuki, zwraca uwagę malowidło jednego z artystów łódzkich. Przedstawia ono zająca, odartego ze skóry i obłożonego cytrynami.

Trudno o przyjemniejszą dekorację mieszkania...

. . . .

(k) Dziś już, gdy gwiazdka minęła, nie zaszkodzimy nikomu, mówiąc z całą szczerością: nasze zabawki rażą brakiem inwencji i smaku, natomiast są nadmiernie drogie. Krajowi fabrykanci zabawek naśladują najgorsze wzory niemieckie, nie korzystają z pomocy własnych artystów, nie silą się na żadną własną pomysłowość.

Szukasz, przyjacielu, jakiegoś upominku dla kochanego dzieciaka. Wchodzisz do wielkiego magazynu. Dział zabawek ogromny. Wybór w stosunku odwrotnym. Zawsze to samo, wszystko szpetne, szablonowe, nie interesujące. A ceny!...

Nasz przemysł zabawkarski musi ocknąć się, ożywić. Najłatwiej jest — narzekać na złe czasy!

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Komitet doradczy, działający na podstawie planu Jounga, uchwalił memorjał, uznający niemożliwość wywiązania się Niemiec z zobowiązań, przewidzianych w tym planie, póki nie minie kryzys. Teza o pierwszeństwie długów prywatnych przed reparacjami została odrzucona po kategorycznym sprzeciwie Francji. Skutkiem takiego wyniku narad w Bazylei będzie zwołanie konferencji państw zainteresowanych.

Senat amerykański ratyfikował moratorjum Hoovera i wypowiedział się przeciwko zmniejszeniu długów wojennych.

W Santiago (Chile) doszło do formalnej bitwy pomiędzy komunistami a policją i wojskiem; po 3 godzinach walki komunistów odparto; zabitych 30 osób, rannych przeszło 100.

Wojska japońskie prowadzą działania w dwóch kierunkach: na północ od Mukdenu i na południe w kierunku Czin-Czeu, które ma być wkrótce zajęte. W ten sposób cała Mandżurja znalazłaby się w rękach japońskich.

Rządy: francuski, angielski i amerykański podjęły w Tokio démarche, wyrażając zaniepokojenie z powodu akcji wojsk japońskich na Czin-Czeu. Japonja odpowiedziała, że nie dąży do opanowania tego miasta, a jedynie do oczyszczenia go z żywiołów wywrotowych.

Władze sowieckie wydaliły z Rosji pierwszego sekretarza czeskosłowackiego poselstwa w Moskwie za rzekome przygotowywanie zamachu na ambasadora japońskiego celem sprowokowania wojny Japonji z Sowietami.

Prezes rady komisarzy ludowych, Mołotow, stwierdził, że pertraktacje z Polską o zawarcie paktu nieagresji rozwijają się dobrze. Wywołało to niepokój w prasie niemieckiej.

W Watykanie zawalił się sufit w czytelni „Leonina", grzebiąc jednego uczonego i dwóch robotników, oraz powodując zniszczenie cennej bibljoteki i dzieł sztuki. Powodem katastrofy było przeciążenie sali Sykstusa V, położonej nad czytelnią.

W starym zamku Stuttgarckim wybuchł pożar, który po stłumieniu wznowił się podczas świąt; straty olbrzymie w działach sztuki; trzech strażaków zginęło.

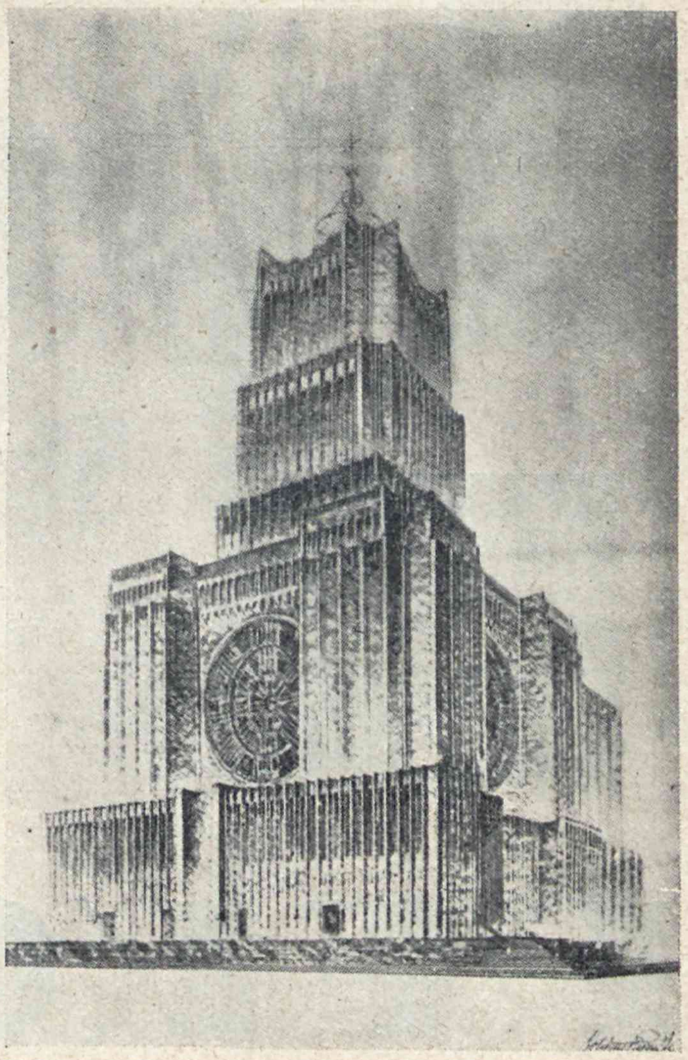
P. Leon Barański, dotychczasowy komisarz rządu w Banku Polskim, został zastępcą naczelnego dyrektora tego banku.

W prokuraturze warszawskiej zaszły liczne zmiany, m. in. znany z procesu brzeskiego wiceprokurator W. Grabowski awansował na zastępcę prokuratora sądu okręgowego, p. Wład. Sieroszewskiego — przesunięto na wiceprokuratora do spraw prasowych na miejsce p. Kawczaka, mianowanego wiceprezesem sądu w Łodzi, wiceprokur. sądu apelacyjnego, pp. Pilecki i Świtalski zostali pisarzami hipotecznymi.

Na Bałtyku szalał huragan, zrywając dachy w Gdyni i innych miejscowościach; okręty, będące w podróży, znalazły się w niebezpieczeństwie.

Znany publicysta, p. Witold Giełżyński, który od szeregu lat zasilał „Świat" swemi cennemi artykułami, wszedł obecnie do redakcji naszego tygodnika, jako stały jej członek i zastępca redaktora naczelnego

ŚWIĄTYNIA OPATRZNOŚCI



PROJEKT ŚWIĄTYNI OPATRZNOŚCI INŻ. B. PNIEWSKIEGO ZOSTAŁ WYBRANY W KONKURSIE ZAMKNIĘTYM DO REALIZACJI



REKORD S.03514

Dziś jeszcze na wspomnienie tych wydarzeń, o których pragnę opowiedzieć, ogarnia mnie dziwne uczucie przerażenia.

Od ośmiu dni jechaliśmy starym statkiem w górę rzeki Ogue. Mało pasażerów, dużo zapasów: skrzynie sucharów, przybory samochodowe, konserwy, lekarstwa, wyroby bawełniane — ogółem wziąwszy, zwykły ładunek, przeznaczony dla zaopatrzenia kolonji.

Droga wyjątkowo monotonna. Na błotnistych wybrzeżach roślinność nikła i wynędzniała; od czasu do czasu z ponad moczarów unosiły się dzikie kaczki. Nadchodziła pora deszczów i kapitan statku był bardzo zaniepokojony, gdyż lękał się, że nie zdąży wrócić do Superville przed największemi słotami. Po dziesięciu godzinach jazdy zepsuło się palenisko i posuwaliśmy się w bardzo wolnem tempie.

Dziewiątego dnia byłem tak samo zaniepokojony, jak nasz kapitan; czekała mnie długa przeprawa samochodem i perspektywa, że będę zaskoczony przez deszcze, była mi nad wyraz niemiła. Przyłączyłem się do kilku techników francuskich, jadących do Afryki podróżnikowej. Miałem nagrać na kilku płytach gramofonowych pieśni tubylców — chóry i sola.

— No i cóż? — zapytałem naszego kucharza Lalu, jowialnego Sudańczyka, ubranego w różową płócienną spódniczkę i błękitny turban, — jak ci się zdaje, czy przyjedziemy bez opóźnienia?

— Komendant skarży się zawsze i mówi o spóźnieniu, to jego zwyczaj, ale wie dobrze, że wrócimy do Libreville przed deszczami.

— Tym razem zepsuło się palenisko.

— Zawsze się psuje palenisko.

— I dlaczego nie dajecie nowego?

— Pocóż mielibyśmy spieszyć się? Czy tak nie jest dobrze?

* * *

Droga samochodem była nad wyraz męcząca i pełna przygód. Temperatura przekraczała w dzień sześćdziesiąt stopni, a nocą opadała na dwadzieścia; powietrze było tak ciężkie i przepojone wilgocią, że traciło się poprostu oddech.

Przed samym końcem podróży ujrzeliśmy gromadkę kawalerzystów, przybyłych na nasze spotkanie. Ubrani czerwono, w czarnych turbanach, z strzelbami, przewieszonemi przez ramię. Witali nas i składali hołdy w imieniu sułtana.

O sto metrów od wioski wręczono nam upominki od sułtana, a więc wołu, placki, banany i daktyle. Wreszcie zjawił się sułtan w otoczeniu swojej świty. Ubrany był w barwy czerwono-niebieskie, w ręce trzymał mały patyk, którym dawał znaki i rozkazy swoim ludziom. Szedł ku nam, a o krok za nim niewolnik, niosący duży ogrodowy parasol. Ten baldachim robił pocieszne wrażenie. Obok sułtana kroczył tłomacz, z drugiej strony młody chłopak, pełniący funkcje pazia. Przywitał nas bardzo uprzejmie, wyraził swoją sympatję, przyjaźń i zachwyt, poczem zaprosił do siebie.

Wieczorem wielka zabawa przy oświetleniu pochodni: — przeszło stu mężczyzn i tyleż kobiet tańczyło nago, przy dźwiękach czterech drewnianych bębnów. Kobiety dojrzałe szalały poprostu. Jakaś staruchą kręciła się z zapamiętaniem tak długo, aż wreszcie padła nieprzytomna. Leżała przez kwadrans, podczas gdy inne, nie bacząc na nią, nie ustawały w swoich podrygach. Gdy wróciła do przytomności, jęła tańczyć nanowo, poczem znów padła, ale tym razem martwa.

Nazajutrz rano rozpoczęła się praca. Zdjęto z wozów ciężarowych aparaty do nagrywania płyt, które umieszczono w specjalnej budzie, znajdującej się w pewnej odległości od wsi. Instalacja i wprowadzenie w ruch aparatów elektrycznych trwało około tygodnia. Zajęliśmy się tymczasem szukaniem odpowiedniego materjału.

Na śpiewy solowe wybór padł na Ziglę: był to silny murzyn, sympatyczny, o roześmianej twarzy i potężnym głosie. Nie orjentował się wprawdzie, o co nam chodziło i czego się po nim spodziewano, ale był uległy względem swojej zwierzchniej władzy i potrzebne mu były pieniądze na opłacenie podatków.

Kosztowało wiele trudu i zachodu, zanim udało się nam otrzymać bezwzględną ciszę na przeciąg trzech minut naśpiewania płyty. Murzyni nie chcieli milczeć, gdy Zigla śpiewał pełnym głosem, i ta nowość była źródłem nieustającej radości i śmiechów. Ażeby ludność tubylcza nie przeszkadzała, musieliśmy rozstawić warty naokoło chaty.

Wreszcie, po wielu naradach i próbach, Zigla naśpiewał:

Konolulu,
Kanalele,
La Lo,
Kanalele,
Konolulu.

Drewniany bęben, służący jako akompanjament, skandował delikatnie rytm pieśni i wypełniał przerwy.

* * *

Po dwóch latach znalazłem się znowu w Afryce. Stęskniłem się za tym światem? A przecież, jadąc do Europy, sądziłem, że nigdy tu już nie wrócę. Lecz

w dniu, w którym zaproponowano mi, ażebym wziął udział w ekspedycji kinematograficznej, udającej się do serca Afryki, miałem wrażenie, że ktoś wyczytał moje najgorętsze marzenie.

Wracałem więc, zastanawiając się, czy ujrzę sułtana w otoczeniu swojej świty i Ziglę, pięknego śpiewaka Ziglę, który miast opłacić podatki, przegrał w karty swoje honorarjum. Mam ją tu, przed oczami, tę płytę; nosi napis: „Pieśni A. E. F. Konolulu. Zigla. Rekord S. 03514". Zabrałem ją wraz z kilkoma innemi, oraz mały walizkowy patefon.

Przyjęto nas z tym samym ceremonjałem. Witał piękny i rozpromieniony sułtan i wrzaskliwa świta. Wieczorem raczyły nas swoim tańcem starsze i młodsze murzynki. Ale nie spotkałem Zigli. Daremnie szukałem go. Był to czas żniw, Zigla pracował w polu i miał wrócić za kilka dni.

I rzeczywiście, zjawił się po dwóch dniach. Przyszedł do mnie z uśmiechem na wargach, ciągnąc na sznurze wystraszoną antylopę. Był to upominek, a ofiarował mi go z takim wdziękiem i prostotą, że byłem poprostu wzruszony.

Zawołałem czarnego tłomacza, przez którego kazałem powiedziec:

— A teraz, Zigla, usłyszysz swoją własną piosenkę.

* * *

Zigla spoglądał na mnie z uśmiechem, nie rozumiejąc, o co chodzi. Gdy zobaczył, jak otwieram parlofon, zaczął wydawać okrzyki zdumienia, które ściągnęły tłumy tubylców.

Płyta zaczyna się kręcić. Oto pierwsze dźwięki drewnianego bębna. Zigla ogląda się, tak samo jak jego towarzysze. Wodzi wzrokiem wokoło, szukając niespokojnie bębna. Wreszcie, spogląda nieufnie na parlofon i cofa się. Inni czynią to samo; ktoś się śmieje, lecz nagle urywa, wiedząc, że ta wesołość jest nie na miejscu. Wzrok Zigli, wbity w parlofon, śledzi obroty płyty. Nie wie, nie rozumie, pragnąłby pojąć, co się dzieje. Dziecięcy uśmiech, pełen lęku, drży na wargach, lecz niknie pośpiesznie. I oto rozlega się piosenka:

Kanolulu,
Kanalele...

Zigla otwiera szeroko oczy, cofa się jeszcze o kilka kroków i wyciąga ręce, nakazującym ruchem, jak gdyby chciał uciszyć ten głos, swój głos... Tubylcy spoglądają kolejno to na Ziglę, to na gramofon. Dla nich ten cud jest niezrozumiały.

La lo,
La lo...

Co się dzieje? Zgnębiony i przerażony Zigla nie potrafi sformułować żadnego pytania. Potworność tego faktu unicestwiła jego prymitywną naturę. Pozostał tylko instynkt, który każe mu krzyczeć. Chce krzyczeć. Widzę go: otworzył usta, ażeby wyrzucić z siebie krzyk, ale żaden dźwięk nie wydobywa się z gardła. Stoi tak z otwartemi ustami, nabrzmiałą twarzą, oczami wychodzącemi z orbit. Któż zatruł i uwięził jego głos? Ręką chwyta gardło, ściska je, pociera.. Chciałby wydobyć słowo, uwolnić je, lecz daremnie. Jest oniemiały. Napręża się, biedna zbłąkana dusza zdobywa się na ostateczny wysiłek, lecz wszystko daremnie. Cisza. Wtedy, chwyta się nowego środka. Na stole, obok parlofonu, leży nóż. Podbiega do stołu i dzikim ruchem chwyta nóż. Podrzyna sobie gardło. Strumień krwi wytryskuje z szyi, a jednocześnie głuchy, tępy okrzyk. Głos jego jest już wyzwolony... Pada na ziemię.

Przerażeni tubylcy pierzchają w trwodze, bowiem nie należy nieść ratunku temu, którego musnęła śmierć, którego dotknęły wrogie moce. Uciekają, pozostawiając swojego drogiego Ziglę, będącego od tej chwili istotą daleką i straszną — broczącego krwią.

Płyta kręci się wciąż:

Konolulu,
Kanalele...

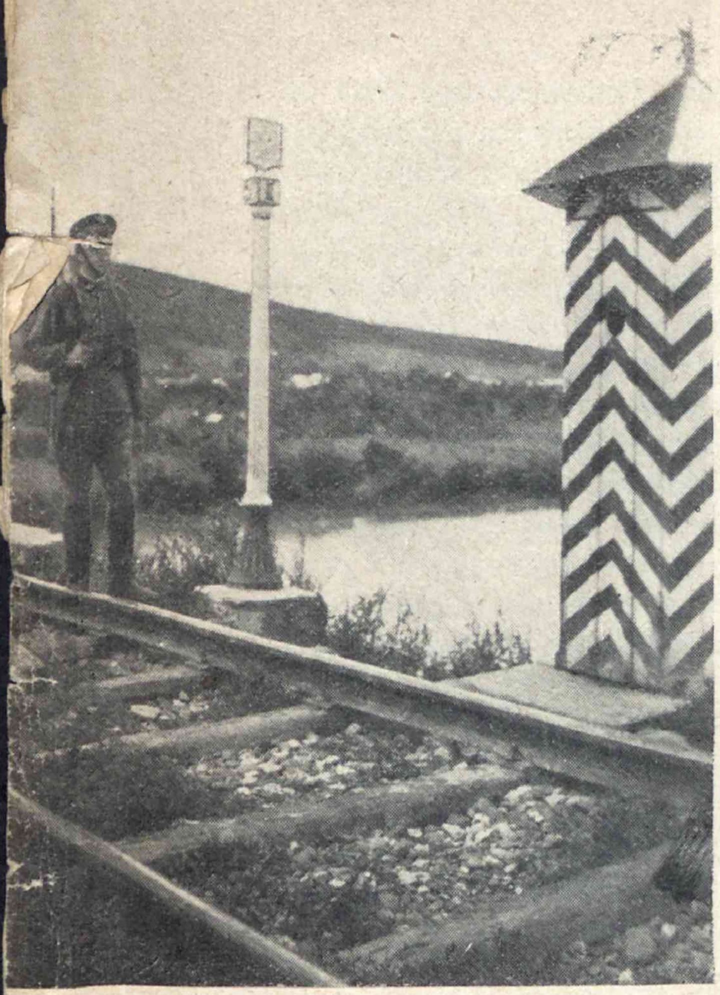
L. Chiarelli



PŁYTA ZACZYNA SIĘ KRĘCIĆ: „KANOLULU, KANALELE"...

na straży granic

(Wrażenia z przejażdżki wzdłuż Zbrucza i Dniestru)



WARTA NA MOŚCIE KOLEJOWYM PRZEZ DNIESTR

Zaledwie kilkanaście godzin jazdy koleją dzieli nas od pogranicza polsko-sowieckiego, wzdłuż którego podwójna linja strażnic naszego KOP. i sowieckich „zastaw" dzieli ziemię i ludzi na całkowicie różne światy.

Wysiadam w Husiatynie, dyskretnie nagabnięty przy wyjściu przez policjanta o dowód osobisty. A choć już wieczór skrywa zarysy przedmiotów, wspomnienia biorą mnie w swe niepodzielne władanie. I te niedawne, z 1919 r., i te z końca XVI w., kiedy to możny hetman Kalinowski polecił oćwiczyć na śmierć starego Nalewajkę. Młody Nalewajko zaprzysiągł zemstę i dotrzymał przysięgi, topiąc we krwi swą zniewagę, aż pojmany, zakończył bujne życie, wbity na pal w miejscu, dziś Nalewkami od jego imienia zwanem.

Husiatyn leży nad Zbruczem w pasie granicznym. Ten przeszło dwa tysiące kilometrów liczący pas jest wyłączną domeną Korpusu Ochrony Pogranicza i ciągnie się od pogranicza wschodnio-pruskiego, poprzez granicę z Litwą, Łotwą, Związkiem Sowieckim i Rumunją, kończąc się na strażnicy „Pieczarna", za którą zaczyna się już rejon Straży Granicznej.

Postanowiłem zwiedzić odcinek „Podole", od Husiatyna wdół wzdłuż Zbrucza do Dniestru i przez Zaleszczyki do „Pieczarnej". Towarzyszyły mi nieodmiennie: słońce, uprzejmość władz KOP., aparat fotograficzny i radość życia. Kto wie, może i podświadoma duma, że żyję po tej stronie kordonu strażnic, że nikt mnie nie śledzi, że można mówić, co się żywnie podoba, bez obawy, że ktoś podsłucha, zadenuncjuje.

Następnego dnia po przybyciu do Husiatyna, kiedy oczekiwałem na odjazd do pobliskich strażnic, wybrałem się na górę, gdzie tkwią jeszcze ruiny zburzonego przez Turków zamczyska i stamtąd patrzałem na przeciwległy sowiecki brzeg, na wąskie, mętne po niedawnych deszczach wody Zbrucza, na ruiny tego ludnego przed wojną miasta, na odbudowany dzięki wysiłkom ks. Matusa kościół, a potem znów na „tamtą stronę". Jak zrozumieć, jak wczuć się w dusze „tamtych" ludzi?

Silne podmuchy upalnego wiatru uderzały w twarz, szarpały rozchełstaną na piersiach koszulą, przynosiły z pól cierpki zapach konopi i woń poletek tytoniu. Chwiała się kukurydza i kolebały się niezliczone tarcze słoneczników—a w oczach narastała wielka łza na — wspomnienie lat dziecinnych.

Tak blisko... Tylko ta wąska rzeka — i droga otwarta tam, gdzie znam każdą ścieżynkę. Ale ten wąski nurt wody bardziej przedziela, aniżeli chiński mur. Tu niema bram.

Jedziemy na strażnice. Co kilka kilometrów „fortalicja", gdzie włodarzą małe Mohorty, gdzie służbę pełnią opaleni na bronz chłopcy, pozatem paradujący tylko w sportowych spodenkach. Życie uregulowane, jak w zegarku, nowiny... Jakież tu są nowiny? Złapano chłopa, który uciekł z tamtej strony, bo mu zabrali żonę. Tu znów komendant strażnicy opowiada, że z tego domu dziś w nocy wywieźli całą rodzinę polską, która opierała się przystąpieniu do kolektywu. Gdzieindziej, jako osobliwość, wskazują piękny, murowany domek, z którego również wywieźli mieszkańców, a urządzili fermę kurzą. Otoczona parometrowym płotem z siatki drucianej, milczeniem swem akcentuje prawdę o kruchości t. zw. wolności osobistej.

Za wzgórzami, porośniętemi liściastym, gęstym, jak dżungla, lasem, gaśnie powoli słońce. Stoimy na wzgórzu, uwieńczonem kamiennym krzyżem. Pełno ich tutaj. To wota, stawiane podczas strasznej epidemji cholery. Ten jednak, wedle objaśnienia okolicznych chłopów, miał postawić król Jan Kazimierz podczas swej nieszczęśliwej wyprawy żwanieckiej. Na każdym kroku splata się legenda i rzeczywistość, echa minionej sławy i dzisiejsza moc.

Trwa ona w tych strażnicach, w tych sklepionych piersiach chłopców, przybyłych na pogranicze z Kieleckiego i Wielkopolski, z pod Rzeszowa i z Warszawy, trwa w ich mowie, wierzeniach i służbie, w ich wspomnieniach, wyniesionych z tej

„GODZINA OŚWIATY" NA STRAŻNICY „GRÓDEK"



OBIAD W OGRODZIE NA STRAŻNICY „ZIELONA-KUDRY-WIECHA"





KOSZYKÓWKA (STRAŻNICA „PURYLCZE")

ziemi kurhanów, ziemi — wczoraj i dziś.

Chodzimy z aparatem w garści po tych izbach strażniczych, zastawionych łóżkami i wszelakim sprzętem żołnierskim, oglądamy mundury, złożone w kostkę, ubogi dobytek, zawarty w skrzynkach, jasne i czyste świetlice, skromne (jakże skromne!) bibljoteczki, kuchnie, w których warzą jadło, lepsze aniżeli w niejednej restauracji warszawskiej, kancelarje, gdzie skupia się cała mądrość strażnicy... To stacje rozdzielcze, to mózg węzłów sieci granicznej. Wędrujemy po grządkach ogrodów warzywnych. Każdy chwali się tem, co najlepszego posiada: w strażnicy „Bereżance" olbrzymie dynie i całe girlandy pomidorów, w strażn. „Bedrykowce" wspaniałe amarantusy i po raz pierwszy wyhodowane melony, w „Pieczarnej" morele oraz istna powódź cynij, nagietek, astrów i innego kwiecia; w odwodzie komp. „Kociubińczyki" — najbardziej ku północy wysunięta hodowla arbuzów, w „Trybuchowcach" przeróżne warzywa, ówdzie pokazują potwornie spasionego wieprza — i duma przebija z oczu strzelców: oni są tu gośćmi tylko, po tylu a tylu miesiącach odejdą, a jednak pracują, aby zostawić tym, co po nich przyjdą, ślad swej bytności, swych drobnych wysiłków.

Wiele zresztą zależy od komendanta strażnicy. Podoficer w każdym wypadku jest jak ten rzeźbiarz, co z podatnego materjału żołnierskiego wygniata kształty wedle swego najlepszego rozumienia. Że nie wszyscy są stworzeni na miarę Fidjasza, to już rzecz ludzka.

Niemal każda strażnica poszczycić się może posiadaniem boiska sportowego. Najbardziej uprawiane gry — prócz lekkiej atletyki — siatkówka i koszykówka. Czasami grają po mistrzowsku, bywa jednak, że rosłe, muskularne chłopy w ciężkich buciarach walą w piłkę, jak w bęben, a ona — oddawszy jakoby głębokie westchnienie — opada o kilkadziesiąt metrów poza boiskiem. Nie pomagały moje perswazje i przykłady: ręka ciężka, piłka zaś — jak to piłka — leci a leci, wymiarkować trudno.

Jest jednak w ciągu upalnego, pracowitego dnia jedna chwila, która godzi wszystkich, jest rozkaz, wywołujący uśmiech na twarze całej załogi. Ten rozkaz brzmi: „Zbiórka do kąpieli!" Maszerują dwójki, łomocą ciężkie buciska po kamienistym gruncie, grzmi piosenka. A potem śmiechy, plusk wody, parskanie i urwane słowa, które obijają się o tak bliski przeciwległy brzeg, gdzie w kępie łoziny czuwa nieruchomy sowiecki pogranicznik.

Widać go, jak zeszedłszy z posterunku, wolno człapie na zastawę, widać, jak grzejąc się w słońcu na ławeczce, gryzie „siemiaczki" lub gra na harmonji, jak wreszcie kąpie się w Zbruczu, pokazując wspaniałą klasę pływacką. Zacięte, surowe twarze, wzrok bacznie śledzi wszystko, co dzieje się w „biełoj Polsze". Kto wie, co kryje ten wzrok? Nie wyzna, czy go nie bolą jęki wysiedlanych na północ ofiar, głuszone szumem młocarek i traktorów, orzących olbrzymie płachty pól.

Na pograniczu wiele rzeczy robi się na pokaz. Często boiska sportowe są przedzielone od siebie tylko szerokością rzeki. Stojący na posterunku strzelec widzi, jak po tamtej stronie „towarzysze" rzucają dyskiem i oszczepem, widzi też burzenie cerkwi, z której materjał idzie na budowę „Narodnych domów", wielkich składnic zboża w kolektywach, czasem nawet stajen. Na wysokim brzegu czerwienią się kryte blachą budynki szkolne i kolektywy. To ma być poglądowa wskazówka: patrzcie, w jakim kierunku idą nasze wysiłki... Propaganda sączy się wszystkiemi szczelinami granicy, a mimo to panuje tu niezmącony spokój. Inaczej zresztą być nie może: wszak nad utrzymaniem tego spokoju czuwa KOP.

Stopniowo, na rozstawnych koniach, posuwam się na południe. Skała, Kudryńce... Boże, jak tu pięknie! Góry, na górach ruiny odwiecznych zamków, jary, porośnięte lasem, jakieś karkołomne drogi, niespotykana w kraju roślinność, lepione z gliny chaty, obwieszone festonami schnącego tytoniu, zieleń, wytryskająca z każdej piędzi żyznego gruntu, dorodni mężczyźni i dziewczęta gibkie, silne a ponętne, wreszcie upajające jak wino wspomnienia...

I oto Dniestr, oto granica z Rumunją. Pozornie nic się nie zmienia. Ta sama czujność KOP., ten sam krajobraz i ludzie ci sami. Tylko zamiast pogranicznika „trjochliniejnoj wintowkoj" przechadza się żołnierz sojuszniczego królestwa, uzbrojony w austrjackiego manlichera, a na Dniestrze ukazują się niewidziane dotychczas łodzie. Góry to ściskają rzekę w obramowaniu skalistych brzegów, to cofają się wstecz. Na górach wdzięczą się murowane strażnice, mające czasami przeszło sto metrów pionu do rzeki, wiatr szarpie biało-czerwoną chorągwią, zwisającą u dachu, wiatr niesie z Dzikich Pól poszum minionej, lecz nie przebrzmiałej sławy...

Konrad Jotemski

ODPOCZYNEK 14 SZWADRONU KOPU



NAD POGRANICZNĄ RZEKĄ



Atak angielski na „Korytarz Polski"

Są zagadnienia, w których momenty natury politycznej wykazują tak ścisły splot z momentami ekonomicznemi, iż rozgraniczenie ich i próby posługiwania się argumentami tylko jednej z wymienionych kategoryj są niezmiernie trudne, a nawet niemożliwe. Do takich zagadnień wyjątkowo aktualnych należy sprawa dostępu Polski do morza.

Owa wąska tchawica, którą w postaci korytarza Polsce przyznano, umożliwiająca swobodny oddech 30-miljonowemu krajowi, ten skrawek wybrzeża morskiego, na którym w oczach naszych powstał z małej wioski rybackiej nowoczesny port i kilkudziesięciotysięczne miasto, stanowi niemal od początku odzyskania przez Polskę niepodległego bytu przedmiot zaciętej i wszelkiemi środkami prowadzonej kampanji ze strony Niemiec, pokrzywdzonych rzekomo przez ten akt sprawiedliwości dziejowej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Niemcy, atakując „korytarz", posługują się argumentami ekonomicznemi, unikając starannie wszelkich racji natury politycznej, choć kwestja ta bynajmniej zagadnieniem gospodarczem nie jest, lecz wyłącznie prestiżowem. Czynią one to w przeświadczeniu, że opinja światowa wobec kompleksu powojennych gospodarczych powikłań jest bardzo wrażliwa na argumenty ekonomiczne i łatwiej pójdzie na lep frazeologji gospodarczej, aniżeli na śliski grunt dyskusji politycznej.

Oto poważny tygodnik londyński „The Economist" zamieścił ostatnio obszerną korespondencję, kwestjonującą prawa Polski do Pomorza i Śląska. Korespondencja ta, posiłkująca się argumentacją zaczerpniętą w całości z arsenału niemieckiego, podana bez zastrzeżeń przez redakcję angielskiego pisma o światowej poczytności, a więc pokryta jego autorytetem, stanowi dalszy etap w dotychczasowej akcji niemieckiej. Choć argumentacja jest słaba i łatwa do obalenia — to jednak fakt, iż znalazła ona miejsce w organie narodu, który najlepiej rozumie znaczenie morza dla rozwoju kraju, nie pozwala, aby nad temi rozważaniami łatwo przejść do porządku dziennego.

Dobrze się więc stało, że Towarzystwo Ekonomistów i Statystyków Polskich postanowiło zareagować na niedopuszczalne wystąpienie pisma angielskiego, które swych szpalt udzieliło dla wywodów, z objektywnem ujęciem zagadnienia nic wspólnego nie mających.

W świetle przemówień b. premjera prof. Władysława Grabskiego, profesorów Tenenbauma, Kostaneckiego, Młynarskiego i Lipińskiego wystąpiła cała kruchość argumentacji autora artykułu, zamieszczonego w „The Economist".

Stwierdzono m. in. w ad hoc powziętej rezolucji, że „w obecnych warunkach braku zaufania, karmiącego ogólną katastrofę gospodarczą świata, wszelkie publiczne oświadczenia, stanowiące podnietę do zmiany istniejącego stanu rzeczy na granicy niemiecko-polskiej, są działaniem, wzmagającem czynniki kryzysu i niepokoju i jako takie wymagają stanowczego odporu tych wszystkich, którzy dążą do uzdrowienia gospodarczego ludów".

Jeżeli więc z jednej strony argumentacja niemiecka, oparta formalnie na ekonomicznych przesłankach, a o charakterze wybitnie politycznym, zmierzająca do podkopania polskiej egzystencji państwowej, nie wytrzymuje żadnej krytyki, to z drugiej strony wszelkie wywody w tym kierunku zmierzające, bez względu na ich siłę argumentacji, nie mogą stanowić wogóle przedmiotu dyskusji w obliczu nienaruszalnych praw Polski do samodzielnego bytu w ramach gwarantujących minimum jej historycznych i przyrodzonych praw. Na powtarzane ciągle ze strony Niemiec albo z ich inspiracji ze strony innych krajów „ceterum censeo"... kwestjonujące w pierwszym rzędzie prawo Polski dostępu do morza, winno się spotkać z niemniej silnem i konsekwentnem „non possumus" ze strony Polski, której kosztem pewne czynniki chciałyby choć na krótszą metę regulować niesłuszne rachunki międzynarodowe.

Dr. Adolf Atlas

Przyszłości świadome Parki, snują nić naszych losów...



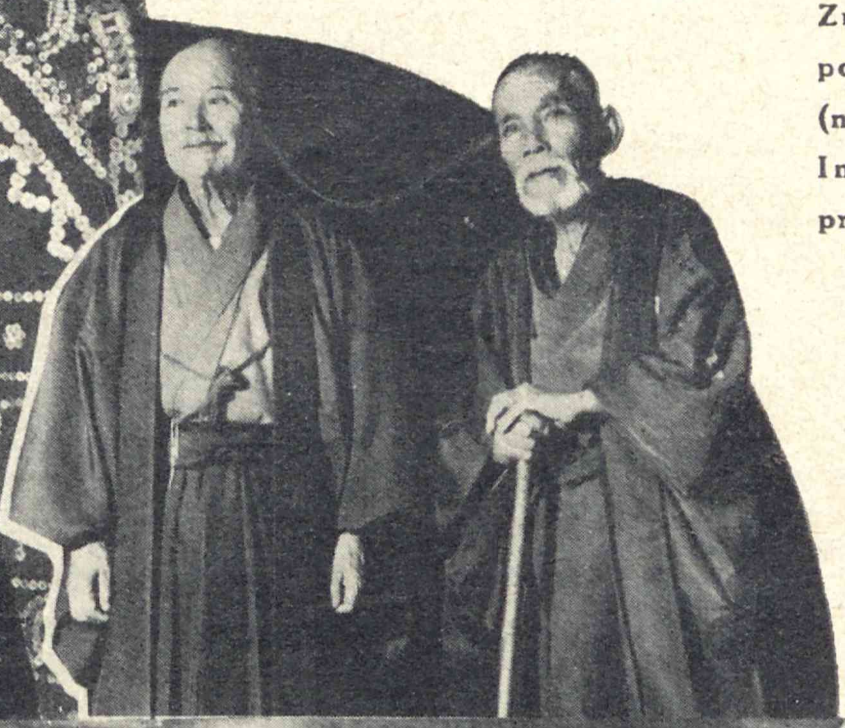
— **Przepraszam... Panie nie mogłyby mi powiedzieć, czy w 1932 roku będzie lepiej?** (Uhu)

ze świata

Królowa norweska Maud z wizytą świąteczną u pań z „Koła perłowego" w Oslo. Jest to organizacja filantropijna



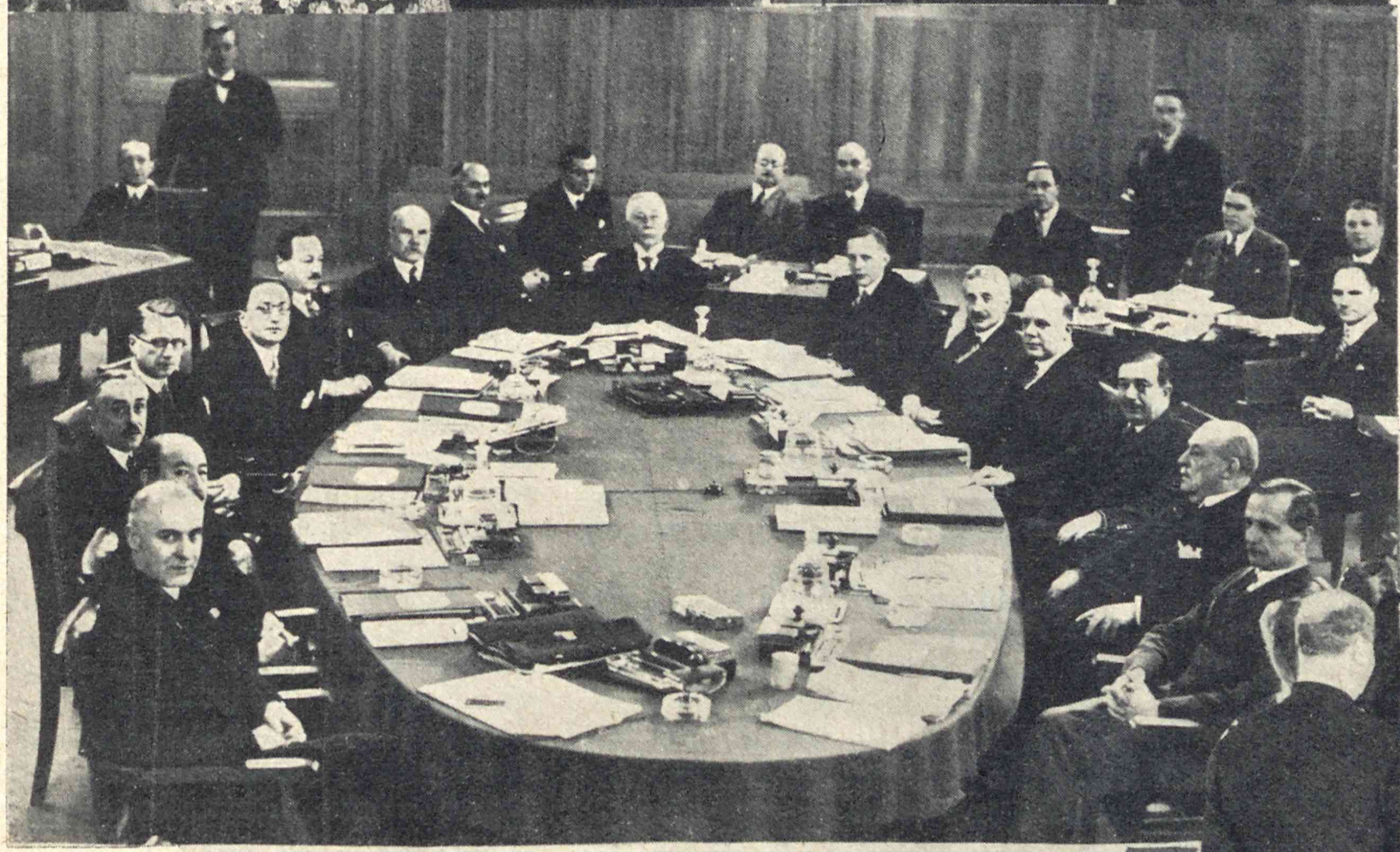
Zmiana gabinetu w Japonji. Nowy premjer (na prawo) p. Tsuyoshi Inukai. Na lewo b. premjer Korei, Kigo Tokashi



Fot. New-York Times

Król szwedzki Gustaw V wręcza nagrodę im. Nobla prof. Bergiusowi





Posiedzenie w Bazylei komitetu doradczego, dla realizacji planu Younga



Król Egiptu Fuad w towarzystwie prezesa rady ministrów Siddie na ulicach Kairu

BEZ POŚPIECHU

Posiadacze własnych samochodów bywają ludzcy i ofiarni.

Ten kochany Hieronim Malicki, spotkawszy mnie (na równej drodze można go też spotkać, niestety) wykrzyknął:

— Jak się masz? — Dziękuj Bogu, żeś się na mnie natknął, bo właśnie szukam kogoś z przyjaciół, żeby mu zaproponować bajeczną frajdę!

— No cóż takiego? — rzekłem z zaciekawieniem i chciałem odejść, ale ten kochany Hieronim zatrzymał mnie.

— Jadę z rodziną do Zaleszczyk własnem autem. Mam wolne miejsce i zabieram cię. Rozkoszna droga. Jedziemy tylko dla przyjemności.

— Ja was raczej dogonię koleją. Będzie to bardzo miła wycieczka.

— Mowy niema, nie bądź za delikatny. Miejsce — zaręczam ci — jest. Ja sam będę kierował. Chyba, że się boisz?

Uderzył w moją słabą stronę. Ja mam bać się? Zresztą to naprawdę kochany człowiek ten Hieronim. Przyjąłem więc zaproszenie.

— Nie masz wyobrażenia—ciągnął dalej Malicki — jak się czuję wolnym od czasu, gdy mam ten wóz. Pomyśl tylko (tu trzasnął mnie w ramię z całej siły). — Jedziesz, kiedy chcesz, jak długo chcesz, od nikogo nie zależysz. Jesteś panem siebie. — No ale pamiętaj: punkt szósta wyruszamy. Wolno ci wziąć jedną małą walizkę. Moje panie są bardzo punktualne, a żalby nam było wyjechać bez ciebie.

„Odjedziecie wy bezemnie, odjedziecie!" — marzyło mi się. Ale przeznaczenie bywa silniejsze od marzeń. Nie wiem sam, dlaczego punkt o wpół do siódmej znalazłem się przed mieszkaniem Malickich. Ulica spała jeszcze, a raczej usiłowała spać, gdyż szofer Hieronima zajechał już przed bramę wozem z podniesioną budą, bo deszcz rżnął z kopyta, i co chwila dusił trąbę, która wydawała smętny bek, jak góralska trąbita, zwołująca rozproszone owce.

Z otwartego okna w mieszkaniu państwa Hieronimów słychać było głośne złorzeczenia pod moim adresem.

— Cóż to za sposób — irytował się pan domu — gość powinien znać mores. Zagranicą niepunktualność ect. ect. — No, jedziemy bez niego — zakonkludował wreszcie.

Stałem przed bramą niezdecydowany, gdy wtem wyszła z kamienicy zapłakana pani Malicka, dźwigając jakieś tobołki. Za nią służący niósł derki i kufry. Za całe przywitanie otrzymałem zimny uśmiech pani i chłodny uścisk ręki Hieronima, który zbiegł jak burza po schodach w swojem obfitem popielatem futrze z kóz.

— To jest szósta? — rzekł tylko pokazując mi zegarek, jakby pokazywał browning.

Po chwili na głośne nawoływanie papy ukazały się dwie panny, blade, o zapuchniętych oczach.

— Ja tak nie pojadę! — mówiła młodsza. — Tatko nie dał mi się umyć.

— Umyjesz się w Tarnowie, gdzie będziemy o dziesiątej, a bylibyśmy o wpół do dziesiątej, żeby nie te wszystkie fochy. Ale raz - dwa, bo tam długo nie stoimy, — pocieszał ją ojciec.

— A ja mam język poparzony herbatą — rzekła starsza — ledwo mogę mówić.

— To niewielka szkoda, proszę jaśnie panienki — zażartował szofer, wierny, stary Dominik.

— No ładujcie się — rzekł Hieronim. — Ja i szofer siadamy z przodu, a ty, gdzie wolisz, między dwiema paniami? czy na składanem siedzeniu obok Tity. — Obliczyłem w mig, że składane siedzenia bezpieczniejsze są w razie czego, z powodu bliskości drzwiczek.

Obstawiono mnie kufereczkami. Rzucono na mnie dwa futra i jeden pled.

— Przynajmniej nie zmarzniesz — zauważył wesoło Hieronim.

Kolana panny Tity opierały się o mnie, ale wpatrzony naogół stale w szybkościomierz, odczuwałem ten urok dopiero przy wysiadaniu na postojach.

Zaraz za Krakowem Hieronim wypuścił wóz 90 klm. na godzinę.

— Robimy rekord szybkości po błocie.

— Słyszy pan? — rzekły tragicznie córki.

— Jak się czujeta? — zapytał ojciec, bo lubił mówić ludową gwarą i puszczając kierownicę, obrócił się do nas.

— Świetnie — odparła za nas wszystkich mama. — Cóż to za cudo takie auto. — Wyjechaliśmy, kiedyśmy chcieli, bez tego nieznośnego liczenia się z pociągiem. A jak ten wóz nosi — uważał pan, jak on czasem ślicznie tańczy na szosie?

— Rasowy wóz — dorzucił szofer.

W tej samej chwili usłyszeliśmy suchy trzask. Rowerzysta dostał się pod nasz zarzucony w bok samochód.

— Ciekaw byłem, co może w obecnych czasach kosztować rower? — Zaraz się dowiemy — rzekł, jak zwykle optymista, Hieronim.

Poczem wydostał z koźlich loków swego futra książeczkę czekową i suto wynagrodził szaleńca, który chciał jechać z nim na jednej drodze. Popędziliśmy dalej. — Szofer zgromił nas surowo.

— To wina państwa, bo musimy teraz nadrabiać szybkością z powodu spóźnienia. — A Hieronim dodał:

— Ale co wolność, to wolność, no przyznajcie sami.

W Stryju zatrzymaliśmy się na obiad.

— Co będziecie jeść? Tylko prędko się decydujta — mówił ten kochany Hieronim, patrząc na zegarek — daję wam kwadrans czasu.

Pokazało się, że gotowe są tylko kolanka cielęce, a tego nie chcieliśmy. — Skończyło się na kanapkach.

Dalsza droga odbywała się pomyślnie. Raz tylko przed furą z sianem Hieronim zamiast hamulca przycisnął akcelerator, przez co dostało nam się trochę siana pod budę i do oczu. Na nasze protesty zdenerwowanym głosem oświadczył, że mamy i tak sieczkę w głowie i że się nie znamy na sporcie.

Aby go fury z większym pośpiechem mijały, wziął teraz szybkość stu na godzinę. System był zresztą dobry: konie już zdaleka skakały z wozami do rowów, ludzie o kilometr odległości robili gesty opętańcze i szukali schronu po drugiej stronie rowu, ale i tu dogonił ich Hieronim. Przeskoczywszy rów, znalazł się na kartoflisku bez szkody wyraźnej dla nas i auta.

Zarył się tylko w błocie, ale dał nauczkę tchórzom.

— Nie ma pan potrzeby niczego się obawiać — rzekła mama. — Mój mąż zna swoje auto. A jak konie wyścigowe skaczą przez rowy? — dodała filuternie.

Na wyciąganiu wozu z błota zeszła nam reszta dnia. Z opóźnieniem dojechaliśmy wreszcie do Horodenki, gdzie nas czekał zasłużony odpoczynek.

— A jutro proszę, aby mi wszyscy byli gotowi na piątą rano — zapowiedział okrutnik. — Rozumieta?

Zdobyłem się na odwagę:

— Cóż ci na tem zależy, czy to piąta, czy dziewiąta? — dajże nam się wyspać. Mówiłeś, że auto to wolność i swoboda.

— Mówię i powtarzam, ale teraz nie czas na dyskusje, jeśli mamy być wyspani na jutro — odparł Hieronim sucho. — Zresztą nie nudźta.

Dojechaliśmy wreszcie do Zaleszczyk. Było promienne rano. Dumny, jakbym przeleciał Ocean, bogaty w przeżycia, uczułem, że kocham istnienie.

Wsunąłem szoferowi w rękę dziesięć złotych, obliczywszy się z groszem, czy mi wystarczy na powrotny bilet kolejowy. Uścisnąłem kochanego Hieronima, a piękność Tity wydała mi się zawrotną.

— Nieumyte to, głodne, a takie cudne — pomyślałem rzewnie — i byłbym jej to może powiedział, gdyż śliwki i winogrona Zaleszczyk nie wyczerpywały dostatecznie mojej radosnej ekspansji życiowej, ale spojrzawszy w lustro hotelowe, chwyciłem się za głowę i począłem targać na niej włosy z rozpaczy.

Były to włosy koloru kozich loków automobilowego futra Hieronima.

Magdalena Samozwaniec

„Znasz-li ten kraj?...“ Boya-Żeleńskiego

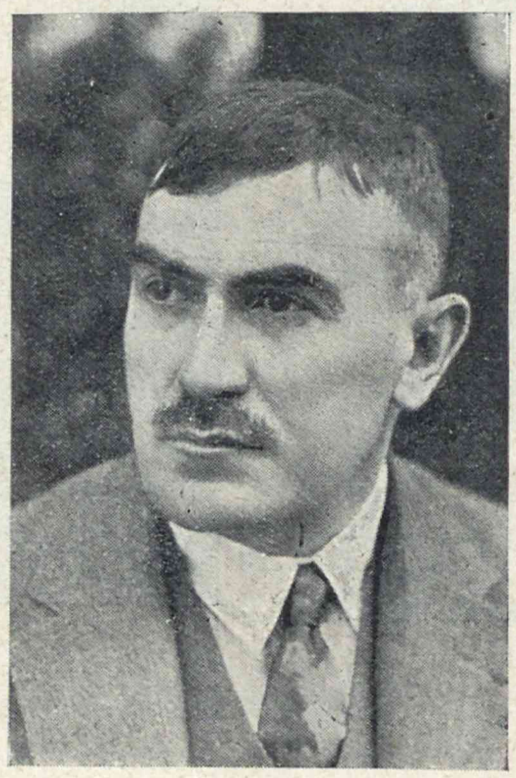
Pod tym tytułem, nakładem Biblioteki Boya, wyszła miła i zajmująca, nowa książka autora „Słówek“. Jest to monografja cyganerji krakowskiej z okresu przedwojennego. Z tego okresu, kiedy spokojny ład starego grodu zakłóciła bujna młodzież literacka i artystyczna, ściągająca do Krakowa z wszystkich dzielnic polskich.

„Młoda Polska“, z Przybyszewskim i Wyspiańskim na czele, zdobywała swe pozycje w piśmiennictwie i w sztuce. Wielkie bogactwa talentów, wielka wiara we własne siły, neoromantyczna *Sturm — und Drangperiode*, jeden z najciekawszych momentów w dziejach twórczości polskiej.

Boy-Żeleński daje w swej monografji świetną charakterystykę kontrastu, między cokolwiek stęchłym konserwatyzmem Krakowa a tą radosną, krzykliwą młodzieżą, wydrwiwającą bezlitośnie wszystkie fałszywe powagi. Należy być sprawiedliwym: wśród „starych“ znalazło się dość ludzi kulturalnych i żywotnych, którzy potrafili ocenić należycie wartość i znaczenie tej porywistej wiosny w umysłowem życiu Polski. Sędziwi profesorowie uniwersytetu i Akademji Sztuk Pięknych z entuzjazmem witali tę nagłą erupcję talentów. Odwieczna walka „starych“ z „młodymi“ toczyła się tym razem bez szczególniejszej zaciekłości, najskuteczniejszą bronią była złośliwa piosenka lub karykatura. „Zielony balonik“, ów niezapomniany kabaret artystyczny, który uczynił Boya-Żeleńskiego tak głośnym i popularnym w całym kraju, był najdoskonalszem ogniskiem dobrego humoru.

Monografja Boya odsłania zakulisowe tajemnice tych przeżyć. Wszyscy wybitniejsi ich uczestnicy są sportretowani ręką pewną i niezawodną. Boy posługuje się znakomicie anegdotą. Pamięć w tej mierze posiada niebywałą. Książkę jego cechuje ciepły, serdeczny stosunek zarówno do epoki, jak i do ludzi, którzy byli jej aktorami. Nic dziwnego. Wszystko, co związane jest z naszą młodością, z pomyślnemi zwłaszcza początkami naszej karjery, ma dla nas nieodparty powab, i nawet często w tym wypadku przeceniamy znaczenie faktów. Czyta się tę nową książkę Boya z nieprzerwaną przyjemnością i zainteresowaniem. Aż chwilami ogarnia żal: — Kochany Boyu, czemuż tak ciepło i dobrze piszesz tylko o przeszłości!

Stef. Krz.



T. BOY-ŻELEŃSKI

CO CZYTAĆ?

„WIDZENIE WOKANDY“, „LOS“.

Jerzy Bandrowski wydał część drugą swego „romanetta“ pt. „Widzenie Wokandy“. Jest to rozumie się „białe romanetto“. Czem się różni od „czarnego“? Dlaczego zwie się po włosku, gdy możnaby to nazwać po polsku również zdrobniale „powiastką“! A zresztą ten podtytuł wogóle jest rzeczą zbędną. Powieść p. Jerzego Bandrowskiego czyta się bowiem ciekawie i daje kilka uważnych, konkretnych obserwacji życia naszego w pierwszych latach niepodległości. Autor przenikliwie maluje środowisko gulonów lwowskich. Dulszczyzna to innego typu, niż u Zapolskiej, gdyż przyjaciółka, a właściwie nieślubna żona Grubasa, Frania wywodziła swój ród z ubogiej sfery pół-mieszczaństwa, półproletarjatu. Posiada ona swoistą filozofję życia, jak i środowisko, którego jest dzieckiem. Ilekroć Bandrowski opowiada o Frani, jej rodzinie, daje obrazy pełne prawdy i ekspresji artystycznej. Jest w nich realizm, zniewalający uwagę. Niezły też jest rysunek małomiejskiego środowiska, w którym spędził schyłek życia ojciec Grubasa. I tu mamy do czynienia z łykami pośledniejszego gatunku. Gdyby autor poprzestał na tych wiązadłach opowieści, mogła to być rzecz rodzajowa o swoistym, mocnym wdzięku. Jerzy Bandrowski postawił przed sobą cel wyższy. Wdał się w czynniki irracjonalne, chcąc opowieść swoją uczynić przyczyną objawienia. Zapewne nie jest to zagadnienie obojętne. Po co jednak mieszać wolę zmarłych do zwykłych, poziomych spraw ludzkich i jeszcze z tego wywodzić cuda? Powieść ta mogła się obyć bez tych przystawek. Nie wpłynęły one bynajmniej na rozwój stosunków uczuciowych między Franią a Grubasem. Ona była, jest i pozostała małą, lwowską mieszczką, jak on znów człowiekiem uczuciowym, lecz dziwnie nieumiejącym zorganizować sobie życia. Pragnie ten Grubas ładu, ciepła domowego ogniska, a musi pędzić żywot po szynczkach.

„Widzenie Wokandy“ (nazwisko Grubasa) kończy się akordem podniosłym. Ostatni rozdział zatytułował autor „Cud“. Nie jest to jednak cud właściwy. Ogród wprawdzie pokrył się białym kwieciem, na duszę padł urok tej bieli — Grubas odnalazł w sobie zdolność odczuwania obecności Boga, lecz w życiu jego epizod ten niewiele waży! Zapewne z niemądrą Franią dalej brnąć będzie w nierozsądne perypetje i skarżyć się, iż jest tak różna od jego kultury, poglądu na świat, ułożenia.

Powieść Jerzego Bandrowskiego napisana jest ze swadą. Jest ona napewno pierwszym rzutem pióra! Autor ten bowiem nie lubi wracać do utworów swoich w celu artystycznej rewizji. A zresztą czy ma czas? Daje on przecież po kilka książek rocznie.

Zalety narracyjne utworów Janusza Meissnera znane już są szeroko wśród miłośników belletrystyki. „Szkoła orląt“, sympatyczna, żywa powieść, osnuta na motywach rzeczywistości i marzeniach lotniczych, zdobyła młodemu autorowi duże uznanie. Janusz Meissner wydał jednak kilka zbiorów utworów mniejszych, nowel, które również wpłynęły na popularyzację jego imienia wśród szerokich kół czytelniczych. Obecnie wydał znów tom nowel pt. „Los“. Znów przenosi on czytelnika z ziemi na szlak podniebny, najeżony walką z żywiołem powietrza.

Janusz Meissner nie fantazjuje swoich opisów tych powietrznych wyczynów. Jako lotnik z zawodu i zamiłowania spisuje tylko swoje obserwacje. Są one bez konkurencji.

Zapewne w fabułach nie wysila się on na specjalną architektonikę utworów. Ale też jest mu to prawie niepotrzebne. Wystarczy, by opisał lot wśród wichru, mgły czy burzy. Będą to obrazy niezawodne w swojej grozie, prawdzie i ekspresji. Jakże prostą jest czołowa opowiastka p. t. „Los“. Niemal wspomnienie pośmiertne. Ile jednak znaleść można w niej poezji, i to tej nierobionej, bo przesyconej realizmem zdarzenia i przeżycia. Nowy ten zbiór nowel Janusza Meissnera utrwala jego literackie zdobycze na polu zbliżenia lotnictwa do naszego społeczeństwa.

E. C.

Teatr Nowy: świetna komedja St. Miłaszewskiego p. t. „Drugie imię miłości"



GŁÓWNI WYKONAWCY: SAMBORSKI (OJCIEC) I ANKWICZÓWNA
Fot. J. Malarski



GORCZYŃSKA I WESOŁOWSKI

Wieczory teatralne

Teatr Nowy—„Drugie Imię Miłości" — St. Miłaszewskiego.

Teatr Letni — „Omal nie noc poślubna" — Ellisa.

Teatry miejskie przed samemi Świętami — stanęły pod znakiem miłości!

W „Nowym" utalentowany poeta St. Miłaszewski postanowił odcyfrować drugie imię miłości. W „Letnim" — pp. Malicka i Osterwa zaryzykowali zademonstrować, jak mogła wyglądać ich noc — nieomal że poślubna.

Miłość — cygańskie dziecię — królowała na obu scenach.

Inne były oczywiście jej formy, słowa, sytuacje.

Miłaszewski dał nam komedję piękną w formie i intencji i radykalnie odbiegającą od dotychczasowych form jego teatralnego wypowiadania się. Zmiana tonu — powiedzmy to odrazu — w znaczeniu teatralnym udana, powiodła się zdecydowanie.

Syn i ojciec — obaj zakochani, obaj zdobywający tę samą kobietę, obaj gwałtowni, namiętni, posiadający zdecydowany charakter.

Konflikt może nie nowy — wszak pamiętamy jeszcze utwory Caillaveta i de Flersa. Tylko, że to, co dał Miłaszewski — to zupełnie co innego. W komedjach spółki francuskiej właściwie konfliktu nie było: była tylko rywalizacja, zabiegi o kobietę. Pamiętamy, że w tamtych komedjach „papa" lub tylko starszy pan-rywal był zawsze dla publiczności sympatyczny, pociągał ją swą wnikliwością, sentymentem, subtelnością. Jego czterdziestoletnie skronie przyprószone siwizną stanowiły urok — a jeśli młody, czy młodszy zwyciężał, to nie był to brutalny tryumf, lecz normalne zwycięstwo praw natury.

Miłaszewski poszedł inną drogą. W jego komedji jest konflikt. Konflikt między materjalną siłą miłości i życia — między ojcem a synem, który wprawdzie nie jest idealistą, lecz ma odruch buntu uczciwości, gdy piętnuje pewne ojcowskie machinacje bankowe i gdy odchodzi, aby ciężką pracą bez pomocy ojca zarabiać na życie.

Jest to ze strony autora niewątpliwe pogłębienie jego sztuki, jest to rozszerzenie podłoża konfliktu. W konflikcie tym jednak Miłaszewski rysuje ojca linjami rozmyślnie dość brutalnemi — nie ma więc on za sobą ani przez chwilę sympatji widowni. Odzyskuje ją w ostatniej chwili, gdy oddaje synowi kobietę, o którą walczyli.

Na tle tych zabiegów dwuch pokoleń rozwinął Miłaszewski akcję żywą, zbudowaną bardzo silnie — i opatrzył ją w djalog staranny, zajmujący. Tak wyposażona szczęśliwie przez autora komedja wpadła w ręce pp. Gorczyńskiej, Wesołowskiego i Samborskiego. Stworzyli oni zespół wprost doskonały. Specjalne słowa uznania należą się pani Gorczyńskiej. W tym komedjowym rodzaju czuła się ona świetnie. Szczególnie akt pierwszy, gdzie wkraczała niemal w ramy gry charakterystycznej, był przeprowadzony z wdziękiem i plastyką. W akcie drugim w scenach z ojcem i synem p. Gorczyńska miała rozmach i siłę, a poziom jej gry daleki był od przeciętności. Można śmiało powiedzieć, że w tym nowym rodzaju roli p. Gorczyńska sprawiła nam miłą niespodziankę, świadczącą wymownie o skali jej talentu. Wesołowski miał od początku do końca nieprzeparty, nie-

Teatr Letni: „Omal nie noc poślubna" angielska komedja W. Ellisa w przekładzie Teodory Drzewieckiej

Fot. J. Malarski

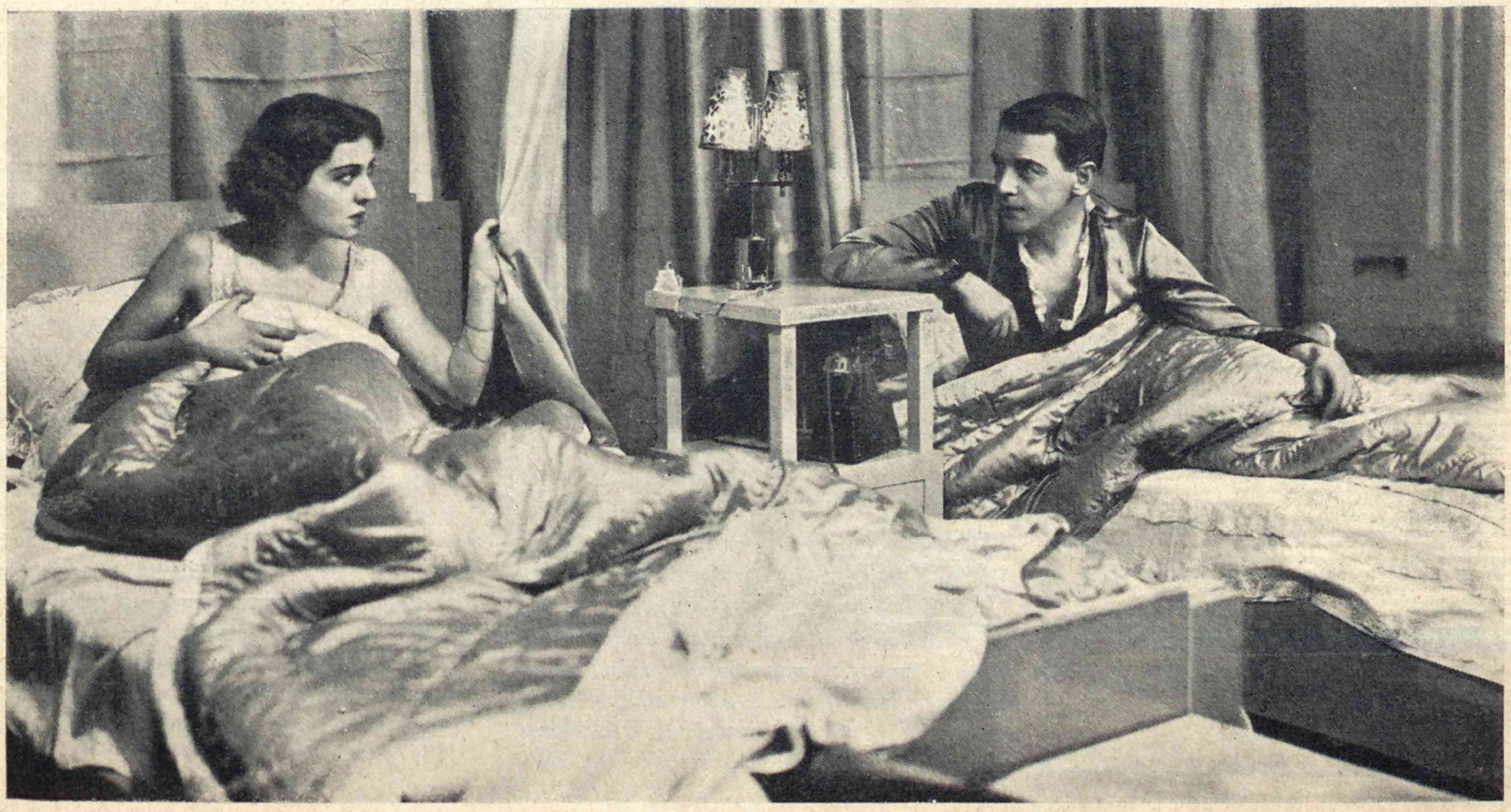


WESOŁA SCENA AKTU I: OSTERWA, HNYDZIŃSKI, RAPACKI

MARJA MALICKA W AKCIE II



NIEZWYKŁY DUET AKTORSKI: WDZIĘK, URODA, WIRTUOZERJA GRY: MALICKA I OSTERWA



podrabiany wdzięk młodości, djalogował inteligentnie i żywo — był naturalny w najlepszem znaczeniu tego słowa. Samborski wniósł wszystkie zalety swego niepospolitego talentu: żywiołowość, wybitną wyrazistość dykcji i mimiki. Całość przedstawienia interesująca, ciekawa i wróżąca teatrowi Nowemu powodzenie.

A może — powodzenie — jest właśnie drugiem imieniem miłości?

* * *

W Letnim natomiast Osterwa i Malicka bawią się, zamieniając swoje pyjamy. Śnią o małżeństwach „nazajutrz", nie wiedząc, że dzieli ich tylko wąski przesmyk między dwoma „dziewiczemi" łóżkami. Mrużą oczy w porannem słońcu i nie mogą się rozpoznać, bo się w tej porannej pozycji widzą po raz pierwszy. Wpadają w zadumę, zakochują się, milczą — uważając, że wszystko już stracone. Gryzą się, martwią, zwierzają Karolowi - służącemu, co jak dobry duch pielęgnuje ich kiełkującą miłość. Wreszcie wyznają sobie prawdę. W nagrodę dostają spadek po wuju, który zmarł w samą porę między jedną a drugą nocą poślubną i biegną w podskokach na kobierzec — tym razem prowadzący do prawdziwego ślubu i prawdziwej nocy poślubnej.

Komedja W. Ellisa, która w Anglji i w Ameryce święci olbrzymie powodzenie i autora uczyniła w ciągu roku parokrotnym miljonerem, pełna swoistego wdzięku i dowcipu, przypadła odrazu do gustu i naszej publiczności. Zwłaszcza, że grana jest rekordowo, że Malicka i Osterwa stanowią parę niezrównaną, że sekundują im świetnie Gella, Hnydziński i Grabowski, i że Karol Frycz dał wnętrza przepiękne.

Axel.

NAGRODA LITERACKA



WACŁAW GRUBIŃSKI, ZNAKOMITY DRAMATURG, ŚWIETNY NOWELISTA I DOWCIPNY FELJETONISTA, KTÓREGO NASI CZYTELNICY DOSKONALE ZNAJĄ Z LICZNYCH PRAC, DRUKOWANYCH W „ŚWIECIE", OTRZYMAŁ NAGRODĘ TOWARZ. LITERATÓW I DZIENNIKARZY ZA TOM NOWEL „CZŁOWIEK Z KLARNETEM"

KŁOPOTY I REFORMY MUZYCZNE

Po długich zaciętych secesjach, dyskusjach, konferencjach sprawa najwyższej uczelni muzycznej w Polsce, t. j. Konserwatorjum warszawskiego, weszła nareszcie w okres pożądanej reformy. Podział na trzy szkoły [seminarjum, szkoła średnia i wyższa] okazał się wadliwym.

Muzycy uzgodnili ten punkt widzenia w ministerjum W. R. i O. P., gdzie urzęduje od niedawna nowy referent muzyczny Wydziału Sztuki, znakomity kompozytor i pedagog Witold Maliszewski, niedawny laureat państwowej nagrody muzycznej.

W myśl ostatecznej decyzji powracamy do typu dawnego, t. j. jednego Konserwatorjum, które ma kształcić adeptów od początku do końca szkolnego studjum muzycznego.

Konserwatorjum to dzielić się będzie na poszczególne wydziały i posiadać będzie własną radę pedagogiczną.

Typ owej szkoły, oczywiście z uwzględnieniem pewnych odchyleń, zależnych od warunków lokalnych, powinien znaleść jaknajszybsze zastosowanie w całej Polsce. Niepodobna przecież, — by nie ujednostajniono u nas metod nauczania fundamentów muzyki, jak też i nauczania fundamentów gry instrumentalnej.

W dziedzinie tej wartoby posłużyć się dobrą tradycją muzycznych szkół francuzkich, belgijskich i rosyjskich. Nawet te ostatnie po krótkim okresie eksperymentów bolszewickich powróciły do dawnego, świetnie opracowanego typu szkolnictwa muzycznego z przed wojny.

*

Trudno nie zanotować w kronikach bieżącego sezonu, jako wydarzenia w pewnym sensie fenomenalnego, — koncertu, jaki z towarzyszeniem orkiestry dał Aleksander Michałowski w Filharmonji warszawskiej. Sędziwy mistrz grał na tym samym wieczorze dwa koncerty Chopin'a, odnosząc sukces niebywały.

Jeżeli istnieje jeszcze gdzieś na świecie [rzecz prosta po za Paderewskim] tradycja gry szopenowskiej — to tylko w Michałowskim. Młodsi współcześni mistrze, jak Hoffman, Rubinstein, Friedman, czy Cortot, czy de Greef, posiadają świetne zalety, — żaden z nich jednak nie rozporządza tak osobliwym, tak tradycyjnie szlachetnym czarem odtwórczym w dziedzinie gry szopenowskiej.

Warto przytem zaznaczyć, że technicznie okazał się Michałowski jeszcze dzisiaj, — mimo tak niezmiernie osłabionego wzroku, — wirtuozem świetnym, pewnym siebie, rozporządzającym olbrzymią, prześlicznie brzmiącą techniką.

Koła muzyczne Warszawy winny uczynić wszystko, by mistrz powtórzył jeszcze w bieżącym sezonie tę audycję.

*

„Cham" Orzeszkowej na ekranie



KRYSTYNA ANKWICZÓWNA, UROCZA ARTYSTKA TEATRÓW MIEJSKICH, W GŁÓWNEJ ROLI KOBIECEJ



JEDNA Z DRAMATYCZNYCH SCEN TEGO FILMU, ZREALIZOWANEGO PRZEZ WYTWÓRNIĘ „DELFILM"

Emil Młynarski po pobycie swym w Ameryce i po długiej ciężkiej chorobie wróciwszy do zdrowia dyrygował z pięknym sukcesem artystycznym „Halką" w Teatrze Wielkim. Rozbita opera warszawska nie daje za wygraną i stara się koniecznie zrekonstruować swój warsztat pracy.

Publiczność zgotowała Młynarskiemu serdeczną owację. Zagadnienie opery to w ciężkich czasach powojennych kwestja trudna, podczas kryzysu zaś — to już istna kwadratura koła.

Wielki projekt opery objazdowej, na którą składałyby się największe miasta polskie, nie dochodzi jeszcze do skutku. Inna rzecz, że gdyby nawet udało się go wcielić w życie, musiałby zespół artystyczny pomyśleć poważnie nad zreformowaniem dawnej „formy" operowej, oraz nad ożywieniem jej nowszą techniką sztuki teatralnej.

*

Konserwatorjum warszawskie rozpoczęło cały szereg audycyj muzycznych, na których występują z popisami swemi uczniowie klas zespołowych, oraz instrumentów solowych. Inicjatywie tej należy jaknajgoręcej przyklasnąć. Możność produkowania się przed publicznością wyrabia uczniów, daje nauczycielom doskonałą okazję obserwacji, równocześnie zaś zbliża znakomicie publiczność do pracy instytucji.

Wieczorne popisy Konserwatorjum są przepełnione i korzystać z nich może najuboższa nawet publiczność, gdy zważymy, że opłata za wstęp wynosi — kupno programu.

Powrót znakomitej tancerki na scenę

Fot. St. Brzozowski



LODA HALAMA W „MORSKIEM OKU" W NOWEJ REWJI P. T. „TĘCZA NAD WARSZAWĄ"

Poziom programów wzorowy, gatunek produkcji tak w klasach zespołowych, jak solowych nadzwyczaj staranny. Wyniki pracy prof. Szaleskiego [klasa kameralna], Jarzębskiego [skrzypce], Raczkowskiego [chóry], Kochańskiego [skrzypce], Lefelda, Lewieckiego [fortepian] świadczą o bardzo sumiennej i celowej pracy.

jkb.

Humor za kulisami

Feljeto-montaż teatralny

Podczas niedawnych prób z „Baltazara" Janusz, grający grubego rentjera, ma „kwestję":

— Nie mam wcale apetytu...

Solski spogląda na pulchne kształty kolegi, który właśnie coś żuje, i powiada:

— Bo pan ciągle jesz.

Ogólny śmiech. Powiedzonko zostaje wpisane do tekstu komedji Marchanda. Budzi ono stale wesołość na widowni.

Tak oto powstaje sława sztuki i autora: sposobem homerowym...

*

W Letnim obsadzają „Wicka i Wacka".

— Starego Klepackiego zagrałby świetnie Fertner — podsuwa reżyser.

Pan Antoni zrywa się oburzony.

— Przepraszam, na „Klepackiego" i to starego jestem grubo za młody! Ja nawet *hiszpańskiej muchy* nie używam! *Mężczyzna — to ja!* — woła dumnie.

— To ja zagram — wstaje kolega Wincenty — syn. Jestem już „packi", zmienię tylko „Ra" na „Kle" i będę gotów.

Se - non...



Przed Salami Redutowemi sznury sanek. Wesoło pobrzękują dzwonki, parskają konie, co chwila wysiada pan w eleganckiem futrze i z przytuloną do boku panią, otuloną w czarne domino, znika w jasno oświetlonem wnętrzu.

Jarzą się sale tysiącem świateł, trudno przecisnąć się przez tłumy fraków, tajemniczych masek, ekscentrycznych kostjumów. Gwar, śmiech, wirujące pary, intrygi i dowcipy, ustawiczne wystrzały korków od szampana. Doskonała orkiestra gra słodkiego, upojnego walca z „Wesołej wdówki".

Tulą się pary, kołysane namiętną melodją, chylą się usta ku ustom, a ciekawe oczy gwałtem, ale to gwałtem chcą się wedrzeć pod koronkową osłonę twarzy.

Usta milczą, dusza śpiewa,
Kocham cię...

Kusi i namawia do słodkiego sylwestrowego grzechu zmysłowa melodja.

— Maseczko... błagam, jeszcze kieliszek szampana...

— Nie, nie mogę... i tak już się w głowie kręci...

— No, to proszę, ot tu, dotknąć ustami kieliszka i powiedzieć mi swoje imię...

— Powiem... ale... ale... na następnej reducie... i gama srebrzystego śmiechu wplata się w odurzającą melodję walca...

...Tak było anno domini...

⁂

A w tym roku? Te same Sale Redutowe, tylko goście trochę inni. Zniknęły gdzieś sanki, czasem tylko podjedzie taksówka, bardzo rzadko prywatna limuzyna, najczęściej idą parki piechotką. Tanio i zdrowo. Zniknęły też fraki, a ich miejsce zastąpiły wyświechtane smokingi, a nawet marynarki. Żółte buty też można zobaczyć.

Taki sam tłok i ścisk, gwar i jazgot jeszcze większy. Ciężkie, rozgrzane powietrze wymownie świadczy, że używa się bardzo dużo krajowych perfum i zamało mydła. Zziajana orkiestra gra bez przerwy kilkanaście taktów murzyńskiej melodji do pomysłowych strof współczesnego poety:

A jak tak, to siup,
a jak nie, to stop,
tyś jest morowy chłop...

Pod filarem stoi dystyngowany młodzian. Rozstawione nogi, obie ręce wbite w kieszenie od spodni, w zębach papieros. Na haczykowatym nosie koniecznie amerakańskie okulary. Zbliża się doń maska.

— Znam cię...

— Wiadomo. Ja grywam w filmach. Wszystkie mnie znają...

— Podobasz mi się... może pójdziemy do bufetu?...

Młodzian pogardliwie wydyma mięsiste wargi.

— Do bufetu nima po co, ...ale możemy iść na kolację...

Maseczka zaskoczona mile propozycją przysuwa się bliżej.

— Na kolację?!...

— Tak — odpowiada młodzian — ja stawiam, a pani płaci!... — i wybucha hałaśliwym śmiechem, rad z wytwornego dowcipu.

Gdzieindziej taki djalog:

— Uj, maseczko, jaki ty masz głos, niczem Greta Garbo w „Namiętnej nocy". Widziałaś ten film?!

— Widziałam, a ty jesteś bardzo wyrafinowany. Taki Pitigrilli...

— Maseczko, zdejmij te maskie, ja nie wytrzymam, ja cie proszę i powiedz, jak ci na imię...

— Nie zdejmę i nie powiem, panie Zbyszek?

— Skąd ty wiesz, że jestem Zbyszek?...

— Ja wszystko wiem i umiem intrygować...

— Maseczko, chodź do bufetu, kupię ci limoniady i jedną mandarynkę, tylko powiedz, kto jesteś...

— Powiem ci, ale... — dyskretny szept do ucha.

Twarz Zbyszka się przeciąga.

⁂

W pierwszorzędnych restauracjach, gdzie dawniej jeszcze na dwa tygodnie przed Sylwestrem marzyć nie można było o stoliku, przestrono i spokojnie. Nie strzela szampan, nie leją się kruszony i koniaki, za to obficiej odchodzi „wyborowa" i poczciwa „wiśniówka". Gdzieniegdzie butelczyna cienkiego winka.

Kelnerzy nie spieszą się z usługą. Wiedzą że rachunek wyniesie 20 lub 30 zł., a gość i tak do rana posiedzi.



Koło bufetu zabrzęczał telefon.

— Panie Antoni — pyta zarządzający — czy zamówienie na stolik?...

— Dziś, panie szefie, gość prędzej trumnę zamówi, niż stolik. Pytali się o jakiegoś Brzdąkalskiego...

Pan szef wzdycha i markuje:

— Wyborowa, raz śledź i sznycel po wiedeńsku...

⁂

Po kawiarniach za to gwarno i pełno. Kawa, herbata, parę ciastek i po kieliszku węgierskiego, lub Sauterna, aby w myśl tradycji rok nowy przywitać. Przez kłęby dymu z trudem przedziera się „przebój" z ostatniej rewji. Gorąco, duszno, ciasno...

Nagle gasną światła. Gong uroczyście wybija dwanaście uderzeń. Orkiestra wali tusz. Nowy Rok!... „Le roi est mort, vive le roi!" Znów oślepiający blask żarówek. Wielka dziejowa chwila minęła.

— Toś ty mnie tak mocno pocałował?... — zapytuje młoda pani siwawego pana.

Mąż robi zdziwioną minę:

— Ja? nie. Może ci się zdawało?..

— Być może — potwierdza zgodnie pani i posyła dyskretne, powłóczyste spojrzenie siedzącemu przy sąsiednim stoliku przystojnemu porucznikowi.

Noc sylwestrowa... noc „szału"...

⁂

Bledną już nieliczne gwiazdy. Posterunkowy, obchodząc swój rewir, spostrzega na bocznej ulicy rozciągniętego na chodniku i smacznie chrapiącego jegomościa. Budzi go energicznie.

— Panie, wstawaj pan... wstyd tak spać na ulicy, nawet w Sylwestra... Chodź pan, odprowadzę pana do domu...

Jegomość zrywa się raźno:

— Dobra jest... idziemy...

— A gdzie pan mieszka? — dopytuje się troskliwie anioł stróż zbłąkanych sylwestrowiczów.

— W Skierniewicach...

⁂

Wreszcie skończona upojna noc.

Powrót nad ranem, często z bólem głowy, czasem z lekką czkawką, najczęściej z nadąsaną żoną, lub zirytowanym mężem. Ciężki do południa sen, przerwany alarmującym dzwonkiem „pana dozorcy", przychodzącego z powinszowaniem [znów pięć złotych djabli wzięli], potem pospieszna toaleta i obowiązkowe wizyty, z obowiązkowem pytaniem:

— Jakżeż pan [lub pani]. spędził(a) Sylwestra?...

A wieczorem skrupulatne obliczenie pozostałych banknotów i garści bilonu oraz problem bardzo trudny do rozwiązania:

— Jak z „tem" wytrzymać do końca miesiąca?...

j. s. w.

Ś. p. Generał Józef Groty-Prokopowicz

W ubiegłym miesiącu zmarł w Warszawie ś. p. Józef Groty-Prokopowicz, generał dywizji w st. spocz., urodzony w Warszawie w 1855 roku.

Zmarły był synem Wincentego Prokopowicza, rzeczywistego radcy stanu, senatora w b. Sejmie Królestwa Polskiego.

Jako 8-letni chłopiec pomógł oddziałowi powstańców przeprawić się przez rzekę i ujść przed pościgiem moskali. To przeżycie dziecinne było tak silne, że



Ś. P. GENERAŁ JÓZEF GROTY-PROKOPOWICZ

pchnęło go do służby wojskowej. Jako młodziutki oficer, odznaczył się w czasie oblężenia Plewny w 1877 r., gdzie został po raz pierwszy raniony.

Doskonały kawalerzysta o dużych zdolnościach strategicznych, awansował szybko, choć Polak i katolik, oraz zdobył sobie wiele odznaczeń najwyższych, ale i wiele blizn, uczestnicząc w wojnach: tureckiej, rosyjsko-japońskiej, chińskiej, wszechświatowej i ostatniej — z bolszewikami. Doszedłszy w krótkim stosunkowo czasie do rangi pułkownika, jako świetny kawalerzysta, otrzymał pułk husarski Irkucki, który kwaterował w Rydze. W końcu 1914 r. został komendantem Carskiego Sioła i jenerałem świty; lecz będąc żołnierzem z zamiłowania, nie czuje się dobrze na tem stanowisku i stara się o służbę frontową. W roku 1916 przybył do Finlandji, gdzie przydzielono mu 1 kubańską dywizję i tam przeżył rewolucję finlandzką. Dowiedziawszy się o formowaniu polskiego korpusu gen. Dowbor-Muśnickiego, zebrał żołnierzy polaków, w liczbie 150-ciu, i odesłał ich w pełnym rynsztunku do dyspozycji generała. Sam wyratowany wielokrotnie przez żołnierzy z różnych ciężkich opresyj, został napadnięty przez zbuntowanych marynarzy w Wyborgu (w 1917 r.) i wraz z innymi 6-ma generałami zaprowadzony na brzeg morza, gdzie widniał napis: „Szkoła pływania dla generałów". Tam spychano ich do wody i strzelano do nich, aby się przypadkiem nie wyratowali. Sześciu generałów utonęło, ś. p. gen. Prokopowicz cudem ocalał, dzięki barce rybackiej, która przewiozła go do bezpiecznego miejsca, a później do Sztokholmu.

Przedostawszy się do ojczyzny, wstąpił do armji polskiej i otrzymał Dowództwo Okręgu Etapowego na Froncie Litewsko-Białoruskim. I tu sumiennością i sprawiedliwością zjednał sobie serca podwładnych, a zwłaszcza żołnierzy, którzy kochali go, jak ojca.

Ś. p. Michalina Mercère



Znaną artystkę malarkę, Blankę Mercère dotknął ciężki cios. Dnia 21 b. m. zmarła matka artystki, uwielbiana towarzyszka jej życia i pracy. Ś. p. Michalina z Brzozowskich Mercère była w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia pionierką pracy zawodowej kobiet. Od 1908 r. czuwała z pietyzmem nad rozwojem talentu córki; sama obdarzona wielkiem poczuciem artystycznem, niejednokrotnie decydujący wpływ wywierając na jej pracę, przyczyniła się w znacznej mierze do rozwoju jej karjery artystycznej. Ogrom straty, jaką poniosła artystka, pogrąża ją w nieukojonym żalu. Cześć Jej pamięci.

J. G.

OSTATECZNE WYNIKI WIELKIEGO MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU „KODAK" FOTOGRAFJI AMATORSKIEJ



NAGRODA MIĘDZYNARODOWA W KLASIE „ZWIERZĘTA" 1 000.— DOL. I ZŁOTY MEDAL P. MAX SEIDEL, GROSS MENDORF, NIEMCY



PIERWSZA NAGRODA W POLSCE ZŁ. 500.— W KLASIE „DZIECI" P. E. WODICZKO, CHOSZCZÓWKA

ROZRYWKI UMYSŁOWE „ŚWIATA"

Dział nasz ma na celu dostarczanie sposobności do

przyjemnej i pożytecznej gimnastyki myślowej,

urozmaicającej chwile wypoczynku, co zwłaszcza w dzisiejszych czasach jest szczególniej pożądane.

Znając wysoki poziom i szeroki zakres zainteresowań naszych Czytelników, dostosowujemy do nich treść oraz formę zadań, utrzymując je celowo w zakresie, nie wymagającym specjalnych poszukiwań i dociekań.

W harmonijną całość z tekstem zadań łączą się ozdoby rysunkowe, nadające kolumnie rozrywkowej urozmaicony, estetyczny wygląd.

W ubiegłym roku osiągnęliśmy rekordową różnorodność, gdyż daliśmy

103 zadania aż 72 typów,

wśród których były: krzyżówki, rebusy, szarady, światografy, konikówki, wirówki, logogryfy, arytmografy, zadania artystyczne, ilustracyjne, liczbowe, tafelkowe, schodowe, kratowe, magiczne kwadraty, trójkąty, gwiazdy, koła, sześcioboki, labirynty, układanki, rozsypanki, uzupełnianki, zadania geograficzne, historyczne, literackie, okolicznościowe etc., etc.

Za trafne rozwiązania zadań i za wytrwałość w konkursach kwartalnych przyznaliśmy ogółem

160 wartościowych nagród,

które przypadły 149 Uczestnikom na ogólną ilość 319.

W roku bieżącym będziemy kontynuować pracę na dotychczasowych zasadach, dążąc do zdobycia coraz większej liczby Uczestników i Przyjaciół naszego pisma.

5-ty KONKURS KWARTARNY

Konkurs obejmie wszystkie zadania, które zamieszczone zostaną w ciągu kwartału, począwszy od numeru bieżącego.

Konkurs, dostępny dla wszystkich Czytelników, ma podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrwałości.

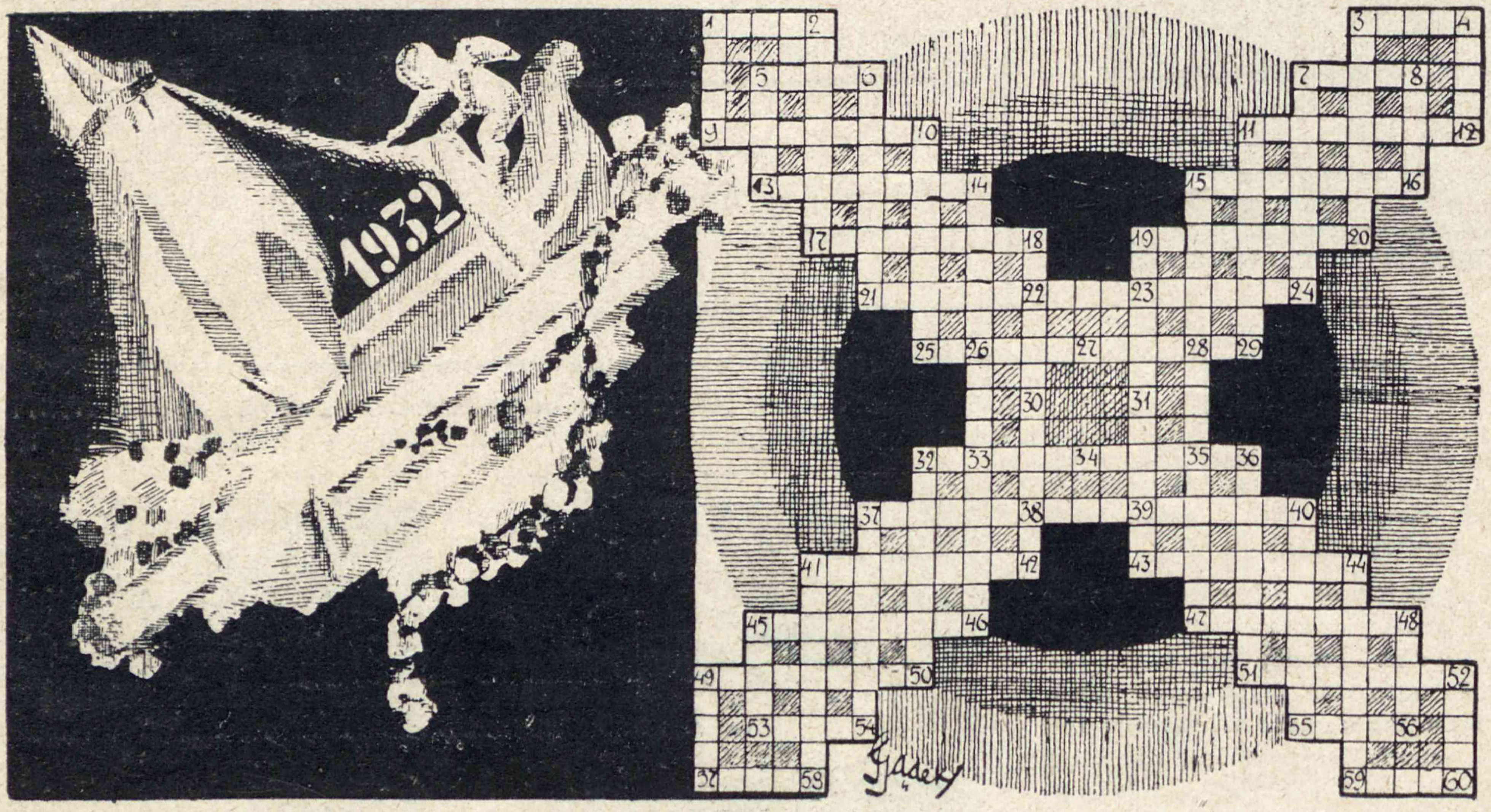
Za trafne rozwiązanie każdego zadania rozlosowuje się jedną nagrodę oraz zalicza się wskazaną ilość punktów. Nadto zdobywcy największej liczby punktów w ciągu całego kwartału otrzymują pięć wartościowych nagród. Pozatem rozlosowanych będzie pięć nagród pocieszenia.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie tygodniowym od daty każdego numeru pod adresem: Redakcja tygodnika „Świat", Warszawa, ul. Szpitalna № 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

№ 1. (104). UKŁADANKA NOWOROCZNA

(Za rozwiązanie 6 punktów).

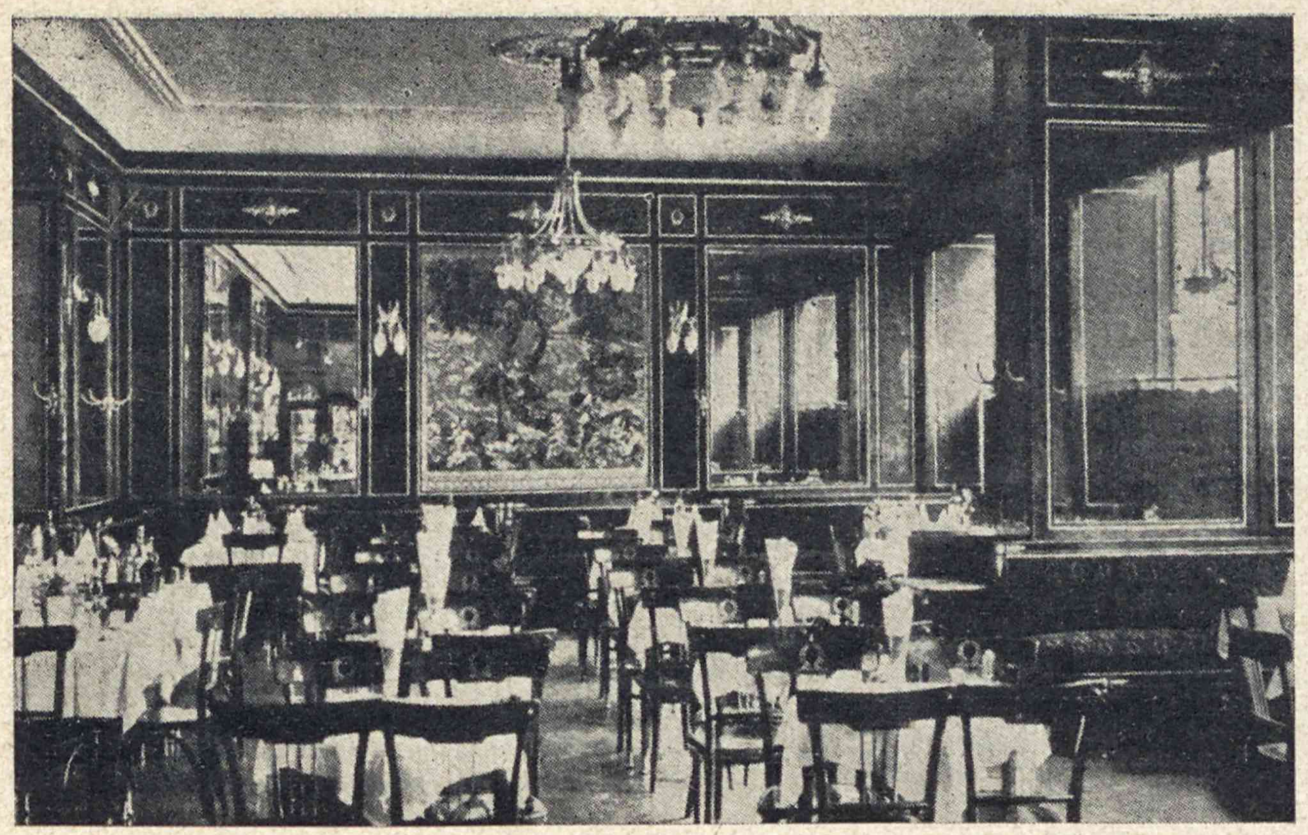
Za trafne rozwiązanie niniejszego zadania przeznacza Redakcja „Świata" trzy wartościowe nagrody książkowe.



Litery poumieszczać w polach figury w ten sposób, aby utworzyły 60 wyrazów, czytanych poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1—2. Taniec, 3—4. Imię żeńskie, 5—6. Wybitny polityk nar.-dem., 7—8. Siedziba carów, obecnie zaś Stalina, 9—10. Inaczej: maleńka, nieduża, 11—12. Powieściopisarz polski, autor „Szkiców z Syberji", 13—14. Mieszkanka Indyj Zagangesowych, 15—16. Powiatowe urzędy administracyjne, 17—18. Tytuł urzędniczy, 19—20. Rodzaj widowiska scenicznego, 21—22. Produkuje się dla płyt gramofonowych (wspak), 22—23. Miasto w Polsce, 23—24. Miasto portowe w Belgji, sławne z kąpieli, 25—27. Nakrętka, 27—29. Artystka sceniczna, 32—34. Pokarm, 34—36. Popularna nazwa hoteli, 37—38. Towarzysz gry, 38—39. Geograf polski, 39—40. Miasto we Włoszech, 41—42. Ostatnia wola, 43—44. Przyjęcie wniosku bez głosowania, 45—46. Skład zbożowy, 47—48. Rodzaj broni, 49—50. Część zastawy stołowej (wspak), 52—51. Przywłaszczanie sobie praw nienależnych, 53—54. Gatunek żmii żebrowanej, 55—56. Ptak, 57—58. Część konstrukcji budowlanej, 59—60. Rodzaj roztworu cukrowego.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1—9. Gatunek papierosów, 2—17. Mieszkaniec Wiecznego Miasta, 3—20. Strojnisia, 4—12. Poeta perski z XI wieku, 5—13. Przywódca rzezi galicyjskiej w 1846 r., 6—21. Przyjęcie wniosku bez głosowania, 7—24. Charakterystyczny ubiór kobiecy dawnych czasów, 8—16. Polska śpiewaczka operowa, 10—25. Zapalenie stawów, 11—29. Zakład hutniczy, 14—26. Człowiek zaniedbujący się, 15—28. Członek instytucji ustawodawczej, 18—30. Ptak śpiewający, 19—31. Inaczej: niewykształcony, 26—33. Termin muzyczny, 28—35. Termin bridżowy, 32—50. Instytucja ustawodawcza, 33—46. Danser, 30—42. Figura geometryczna, 31—43. Pseudonim Żeromskiego, 35—47. Ruchawka, 36—51. Mieszkanka Indyj Zagangesowych, 37—54. Imię męskie, 40—55. Termin fizyczny (wspak), 41—58. Gatunek likieru (wspak), 44—59. Tytuł utworu Wyspiańskiego, 45—53. Szkło okienne; 48—56. Inaczej: czara (wspak), 49—57. Rzeka w Azji, 52—60. War.





Ilustracje nasze przedstawiają dwa fragmenty wytwornego lokalu stolicy

KAWIARNI-RESTAURACJI „ROMA" — Krakowskie Przedmieście 7.

Stylowy Ten bardzo wygodnie urządzony lokal, dostępny jest dla każdego, gdyż pierwszorzędną jego zaletą jest to, że prowadzona jest kawiarnia i restauracja. Ceny rewelacyjnie niskie. Administracja i kierownictwo spoczywa w rękach p. L. Rogińskiego, kuchnia zaś pod kierownictwem znanego fachowca sztuki kulinarnej p. J. Pawlaka. Bufety zaopatrzone w doskonałe zakąski i wyroby cukiernicze. Zespół muzyczny na wysokim poziomie artystycznym pod dyrekcją Karbowiaka i Lewandowskiego.

Najlepiej opłacany autor amerykański

W krainie dolara dzieją się cudenka, o których europejczycy nie mają żadnego pojęcia. Wiemy, iż Sinclair Lewis jest laureatem nagrody im. Nobla, a jego „Babbit" cieszy się wielką poczytnością. Znamy znakomitą twórczość Teodora Dreisera. Podziwialiśmy kilka świetnych malowideł obyczajowych jego docieklïwego pióra z „Tragedją amerykańską" na czele. Uptona Sinclaira spopularyzowała „Nafta", „Stolica", „Spekulanci". Przypuszczaćby należało, iż pisarze ci są najlepiej opłacanymi autorami amerykańskimi. Furda!

Największe honorarja autorskie pobiera w Stanach Zjednoczonych Mr Culbertson, autor porad bridżowych. Podatek dochodowy oficjalnie oblicza mu skarb od 200 tysięcy dolarów. Z tego sądzić należy, że suma jego zarobków sięga znacznie wyżej! Mr Culbertson, suweren bridżowy, wygłasza też odczyty. Jego artykuły o bridżu przedrukowuje prasa angielska, australijska. Podobno, posiada autor ten niezawodne sposoby na figlarzy, grających „bez atu", na ryzykanckich licytantów, na dogrywkowiczów.

Bridż w Stanach Zjednoczonych jest prawie taką samą manją towarzysko-nagminną, jak i u nas w Warszawie.

Zarwanie się sufitu w Bibljotece Watykańskiej



PIĘĆ OSÓB STRACIŁO ŻYCIE. 20 TYSIĘCY RĘKOPISÓW ULEGŁO ROZRZUCENIU I ZNISZCZENIU

HUMOR

W komisarjacie policji.

Przodownik: — Choć pan jest nałogowym pijakiem i notorycznym awanturnikiem, puszczam pana jeszcze ten raz na wolność, ale spodziewam się, że się już w przyszłości tutaj nie zobaczymy.

Pijak: — Czy pppan komisarz zostaje zre-zredukowany?

HUMOR ZAGRANICZNY



JAPOŃCZYK DO LIGI NARODÓW:

— Pani wybaczy, pragnąłbym bardzo posiąść Mandżurję.

(„Tribuna")

— Lubisz rozrywki umysłowe?
— Jak kiedy?
— A możesz mi powiedzieć, co znaczy taka zagadka...
— Nie żądaj zawiele...
— Więc posłuchaj: „Liczbą cztery — wszystkie małe i brudne".
— Daj mi spokój. Ktoby nad tem myślał?
— A ja myślę z przyjemnością!
— Cóż to jest?
— Moje dzieci.



OBOWIĄZKIEM KAŻDEGO OBYWATELA JEST WZIĄĆ UDZIAŁ w AKCJI PRZECIWGRUŹLICZEJ KUP NALEPKĘ PRZECIWGRUŹLICZĄ!!!!



CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—
„ II „ 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—, ⅛ 75.—
„ III „ 450.—, ½ 225.—, ¼ 112.50
„ IV „ 600.—, ½ 300.—
Przed powieścią. . . . Zł. 600.—, ½ 300.—, ¼ 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60 Tel. 210-00.

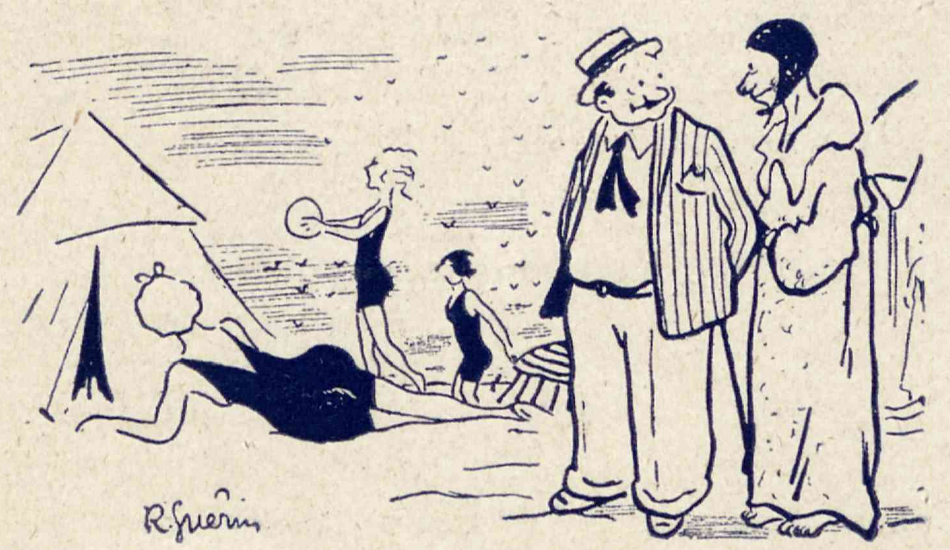
CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., z odnoszeniem do domu 6.50 zł., na prowincji miesięcznie 7.— zł., kwartalnie 21 zł. Zagranicą miesięcznie 9 zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Tel. Administracji 504 00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa

HUMOR ZAGRANICZNY

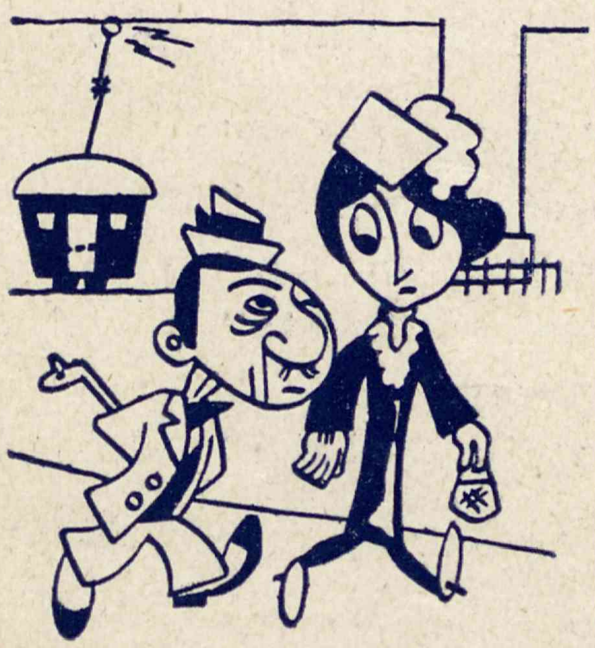


NAD MORZEM.

— Pan się nie kąpie?
— Nie. Wolę się patrzeć!...

(Le Rire)

HUMOR ZAGRANICZNY



— Będę się więcej jeszcze oszczędzał. Muszę zebrać tyle pieniędzy, żebym po śmierci mógł być spalony!

— Ja wiem, że ty zawsze myślisz tylko o swoich przyjemnościach.

Matka: — Czekaj, powiem ojcu, jaki dziś byłeś niegrzeczny.

Jaś: — Doprawdy, tatuś ma zupełną rację, gdy mówi, że kobiety nie mogą niczego przemilczeć.

*

W jednem z miast amerykańskich sędzia udziela młodej parze ślubu cywilnego.

— Czy pragnie pani — spytał, zwracając się do panny młodej — pojąć obecnego tu młodzieńca za męża?

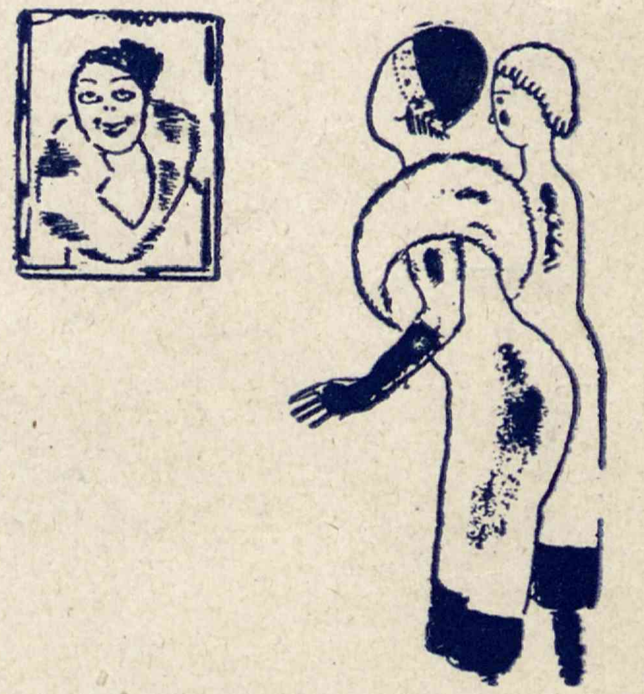
— Tak! — padła cichutka odpowiedź młodej dziewczyny.

— A pan? — zwrócił się sędzia do młodzieńca i przez roztargnienie zapytał: — co pan ma do powiedzenia na swoją obronę?

*



GWIAZDA OPEROWA ŚPIEWA:
...gdy pokocham, miej się na baczności!



— Trzeba przyznać, że nasza przyjaciółka jest na tym portrecie bardzo podobna!

— Przerażająco!

(La Tribuna).

Interesant: — Czy pan dyrektor jest w biurze?

Urzędnik: — Pan dyrektor jest nieobecny. Ale ja go mogę zastąpić.

Interesant: — Mam osobisty interes do dyrektora. Zaczekam, aż wróci.

Po dwóch godzinach:

Interesant: — A czy pan nie wie, kiedy pan dyrektor wraca?

Urzędnik: — Owszem wiem: za dwa tygodnie.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P